

J. Sobieżyński

KAPRYS KSIĘŻNEJ

Michał Maryan Winiarski

Kaprys księżnej

1909

Jan Fiszer — Warszawa

Nowy Świat 9.

1888



KAPRYS KSIĘŻNEJ

1888

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

98531

Komputer



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145082

Złotowłosa księżna Julia, ta z alei Róż, cierpiała stale na atrofję wrażeń. A już beznadziejnie, gdy bawiła w Warszawie...

Może z tego właśnie powodu mówiono o niej, iż była zdolną do najdalej idących szaleństw. Na szczęście dla niej i dla opinii szaleństwa te były zazwyczaj nieszkodliwymi tylko fantazyami jej niezwykle dobrego serduszka.

Czyż można się przeto dziwić, gdy opinia patrzyła na te jej postęпки z półuśmiechem dobrotliwego pobłażania na twarzy?...

Niezwykłą urodą obdarzonej, księżnej, nad którą ponadto czuwał, przeważnie zdała, nimb księcia (choć ten stale gospodarował w swych latifundyach wołyńskich i do Warszawy mało zaglądał) wiele było wolno...

Dziś właśnie, jak zazwyczaj, księżna Julia wyjechała — w braku zresztą czegoś lep-

K-22/79/98531

szego — na spacer swym zgrabnym powozikiem, zaprzężonym w przepysznego deresza.

Śliczny, słoneczny dzień kwietniowy rozmarzył ją niezwykle. Cóż, kiedy na smutną nutę... Tchnienie wiosny, odradzającej świat, przypomniało jej tyle ofiar świeżo rozegranych wypadków walki społecznej. Polegli, padli, wpatrzeni w wiosnę tęczowych nadziei, i już nie wstaną, nie wrócą... Jakie to straszne!...

I zaraz potem, przez naturalne skojarzenie wyobrażeń, przyszło jej na myśl uroczę Pompei z jego zadziwiającymi wykopaliskami. Tak lubiła wśród nich błądzić tamtej wiosny. Czyniła to nieraz dniami całymi i bez przewodnika.

Cudna była ta wiosna zesłoroczna, spędzona w okolicach Wezuwiusza...

W Pompei czytała ze szczególnem odczuciem A. France'a. Nigdzie tak jej nie zachwycił swem mistrzostwem stylu i głębią swych sceptycznych idei — jak tam, wśród tych skatalogowanych ruin, odtwarzających z taką bolesną mocą całą tragedję miasta, zduszonego lawą w samo południe, takie wła-

śnie skwarne, roześmiane, wrzące życiem i uciechą południe.

Tym smutnym, choć niepozabawionym wdzięku, myślom księżnej, poziewającej zresztą dyskretnie, przywtórzył dziwnie nastrojowo swym naraz przed nią zjawiającym się niewesołym widokiem, skromny, ubogi, czarny karawan, ciągniony przez zbiedzonego i pokrytego wyrudziałą derką konia. Karawan ten wyjechał był właśnie z ulicy Smolnej i dziwnem zrządzeniem losu przeciął księżnej drogę. Stangret nie mógł go wyminąć z powodu tłoku, jaki się właśnie w tem miejscu Nowego-Światu utworzył. Chcąc nie chcąc, tedy musiał wstrzymać swego, dumnie wstrząsającego ślicznym łebkiem, deresza i jechać potem tuż za karawanem powoli, stępa, noga za nogą.

Z nudów najpewniej, litościwego ogromnie serca, księżna mimowoli zauważyła, że karawan ten jechał przerażająco samotny. Porzuciona na nim, skromna bardzo i na czarnopopielaty kolor niedbale pomalowana, trumna zdawała się swem przerażającym osamotnieniem wołać litości u przechodniów. Ale żaden z nich nie zdawał się na to jakoś uważać.

Wszyscy spieszyli gdzieś bardzo szybko przed siebie.

— To przecie musi być ogromnie niewesoło tak *solo* wędrować na miejsce wiecznego spoczynku — pomyślała księżna, zastanawiająca się nad tym faktem, jak sama mniemała, z uwagą orlicy, szybującej w górze ponad ogólnym życiem i umiejącej z każdego choćby najdrobniejszego faktu wyciągać orle wnioski...

— Będę lepszą od tych wszystkich...

Powiedziała tak sobie od razu niezbitcie i pod wpływem tego serdecznego odruchu woli kazała przystanąć stangretowi. Zanim ten zorientował się, co nastąpi, wysiadła z powozu, zbliżyła się do ubogiego karawanu i... poczęła iść za nim powoli, poważnie i smutnie, jakby za kimś najbliższym swoim, za kimś bardzo kochanym i utraconym...

Stangret wzruszył ramionami filozoficznie, lecz przyzwyczajony do przeróżnych dziwactw swej jasnej pani, jechał dalej spokojnie za nią stępa aż do skutku.

Bez porównania mniej spokojnymi filozofami okazali się dwaj żałobnicy, idący po jednej i drugiej stronie karawanu. Każdy z nich

raz i drugi obejrzał się po za siebie, a widząc, że wspaniała dama naprawdę idzie za karawanem, dotąd opuszczonym i samotnym, zaalarmował czempredzej, drzemiącego na wysokości swego kozła, woźnicę żałobnego.

Między tryumwiratem sług śmierci zawiązała się doraźna i szybka wymiana zdań:

— Widziałeś?...

— Czemu bym nie miał widzieć...

— I ja już widzę... a naprawdę, że idzie za naszym nieboszczykiem?...

— Przed kamienią, skąd go braliśmy, to pies się o niego nie zatroszczył, a tu naraz taka wspaniała dama się zjawia i maszeruje...

— Nikt inny, tylko ta bogata i piękna osoba musiała zamówić telefonicznie pogrzeb i przez posłańca posłała pieniądze. Ta kasa pogrzebowa to był widać tylko pozór...

— A ten powóz to napewno jej... I także jedzie za nami... To ci się zrobiła parada...

Nawet nie zauważywszy żywych szeptów, wymienianych między żałobnikami na temat swego zjawienia się, księżna Julia pograżyła się w bardzo zajmującej swym smutkiem kontemplacji...

Oto coś, czego jeszcze nie przeżywała. Przypomniła jej się dziwnym zbiegiem okoliczności biedny, mały kanarek, który dokonał swego śpiewnego żywota w złoconej klatce właśnie w czasie, gdy ona kończyła lat jedenaście. Wraz z łatwo wzruszającą się i łzy wtedy mocno roniącą angielką sprawiły mu bardzo ceremonialny pogrzeb. Pogrzebion został w sifanowem pudełeczku, wysłanem wata, i zakołpan w najcudniejszym kącie wspianiałego, starego parku, nad stawem, pomiędzy trzema brzózkami. Pytały się potem astmatycznego księdza kapelana, czy nie będzie grzechem postawić tam na mogiłce kanarka krzyżyk. Odpowiedział, uśmiechając się słodko:

— Choćbyście tam i nie postawili Go, znak Męki Pańskiej unosi się nad światem całym swą obecnością żywą i wieczną...

Wtedy nie odczuły obie głębokości tej odpowiedzi. Nadto w kilka dni potem przyjechał kuzynek Edzio ze studyów paryskich i sprawa krzyża dla kanarka poszła w zapomnienie... Rzecz nie do uwierzenia, ale złotowłosa księżna właściwie dotąd ani razu nie była na wielkim, prawdziwym, bliżej ją ob-

chodzącym pogrzebie. Raz tylko patrzyła z okien pałacu ordynatowej na pogrzeb zmarłego ostatnio arcybiskupa. Ale osądziła, że w operze, ot na przykład takiej »Giocondzie«, którą widziała w »San Carlo« w Neapolu, wychodzą »te rzeczy« bez porównania więcej prawdziwie i wzruszająco...

Jak też będzie wyglądał jej pogrzeb, kiedy i ona umrze, kiedyś, kiedyś tam? Będą mistry, infuly, pastorały... Szereg zakonów pójdzie za nią ze świecami w ręku... Tyle będzie świateł... Ale to nie duża przyjemność. Kiedy świece się gasi, powstaje taka duszność w powietrzu...

Tak pracowała przyjemnie i zajmująco wyobraźnia księżnej, postępującej z coraz większym przejęciem się za nieznaną sobie zresztą zupełnie trumną...

Swoją drogą, kogo ta trumna kryć może w swem wnętrzu?... Ktoś pewnie już dorosły, bo sporej jest objętości... Z tem wszystkiem kobieta w niej leży czy mężczyzna?

Może to była biedna nauczycielka, która sterała swe siły na czterdziestogroszowych lekcjach, biegając za nimi z jednego krańca

miasta na drugi. Księżna czytała zawsze ze wzruszeniem o takich istotach w »Kuryerze«. Raz nawet urządziła na nie pod swoim protektoratem bal w sali ratuszowej...

A może to był student, utrzymujący ze swej pracy chorą matkę, którego teraz zabrały jej nieubłagane suchoty... — Może ten biedny młodzieniec zagłodził się na śmierć, jak ów bohater znanej noweli Hamsuna, którą księżnej dał do czytania ksiądz biskup, gdy ją nakłaniał do zorganizowania Tow. tanich obiadów dla niezamożnej ludności...

Któż ostatecznie leży tam w tej trumnie? To pytanie zaczęło jej dokuczać uprzykrzenie, jak kruszynka sucharka, gdy dostanie się do pantofelka przed dokończeniem toalety.

— Człowieku dobry, który dostaniesz ode mnie osobno za fatygę!... A kogo to chowacie?... — spytała w końcu żałobnika od lewej strony...

— Kogo?... Myślałem, że Jaśnie Pani sama wie. A to desperat był i tyła...

W tej chwili żałobnik z prawej strony, nie chcąc pozostać poza nawiasem przyrzeczo-

nego jego koledze napiwku, bardzo szybko objaśnił:

— Dokuczyła mu bieda po same uszy i kulę sobie wpakował w głowę... Trochę się tam zaplątał nawet...

Ale nie dokończył, zorientowawszy się odrazu, że uwaga jego byłaby nierozsądna, co gorsza, narażała na szwank prawdopodobieństwo ponętnego napiwku...

Księżna Julia zastanowiła się bardzo głęboko nad treścią słów usłyszanych. Swoją drogą z lubością pewną pomyślała o niebezpieczeństwach życia, które aż rewolwer wkłada w dłoń zropaczoną. Serce jej pod wpływem ogarniającego ją dziwnego lęku poczęło bić niespokojnie. C'est la vie... Oto jest nieubłagane, potworne życie...

Z zadowoleniem ogromnem pomyślała, jak zajmującą kartą z bogaci się dziś jej pamiętnik, który prowadziła zresztą bardzo starannie...

Będzie tego dziś cała nowela, tak... cała nowela...

Tymczasem przechodnie, zalegający tłumnie chodniki jednej z najludniejszych ulic miasta, byli nie na żarty zaintrygowani oryginalnym

widokiem, który sam przez się rzucał się w oczy.

— Jako?... Ubogi taki karawan trzeciej klasy i dwóch tylko żałobników w liberyi z najostateczniejszego przedsięwzięcia pogrzebowego a równocześnie za nim ta wspaniałych kształtów wytworna dama, krocząca z takim smutnym wyrazem twarzy za tą ubogą trumną?...

Komentarzy i domysłów posypało się bez liku.

— To chyba nie matka, bo za młoda, — domyślał się, pospieszając, co miał sił, jakiś bezzębny i tabetyczny emeryt, dla którego steranych wiekiem nóg nawet i to tempo żałobnego pochodu było za szybkie.

— Jakaś comtessa grzebie swego kochanka — wyrokował złośliwy, niemniej poważny swym budzącym szacunek wyglądem, ojciec rodziny. — Najpierw wpędziła go swemi namiętnościami do grobu, a teraz łyży nad nim krokodyle leje...

Wyraz jednak oczu comtessy, spuszczonej smutnie ku dołowi, rozbroił go znacznie. Szedł w ślad tuż za nią, starając się choć w prze-

locie pochwycić wyraz tych smutnych oczu, najpewniej dystyngowanych i ślicznych.

Księżna słyszała szepty te, rosące wo-koło siebie, ale mało na nie zwracała uwagi. Owszem, szepty te i pogwar plotkarski jeszcze bardziej utwierdzały ją w zamiarze towarzyszenia trumnie aż na sam cmentarz. Zawsze to przecie dobry uczynek i »zbożny«, jak mawiał niegdyś ich pałacowy kapelan. Niech się oglądają gapie obrzydłe, niech się dziwią, kombinują!... Zawsze gardziła tłumem, a w tej chwili jeszcze mniej liczyła się ze zdaniem ulicy.

A gapie obrzydłe coraz to bardziej zwar-tem kołem zaczęli otaczać tą przepysznie ubraną w paryskie, naszywane gipiurami i futrem, palto, rasową damę, niemylnie pochodzącą z wielkiego świata... Atakowano dyskretnie żałobników, ale ci, olśnieni zapowiedzią datku, milczeli, jakby im usta zamurowano.

Sensacya wokół rosta...

Z oszklonej jak akwaryum cukierni na rogu Wareckiej wyszedł był najpopularniejszy fe-licietonista miasta. Przystanął i pokręcił sumia-



stego wąsa, dziś właśnie nieposzlakowanie za-
barwionego na nowo, na kolor silnie kruczy.

Obok niego przeszedł dziwny orszak. Czy
mógł przejść niespostrzeżony przez te, wy-
ostrzone długą obserwacją życia, bystre, okrą-
głe i wypukłe oczy?... Felietonista dostrzegł
odrazu księżnę i był nawzajem przez nią po-
znany. Znali się przecie doskonale ze wspól-
nej tylokrotnej pracy w filantropii, łatwo zbli-
żającej na wspólnym, neutralnym terenie ró-
wnie utytułowane, jak i nieutytułowane stany.

Uśmiechała się doń przyjaźnie i łaskawie,
jakby uprawniając do podejścia.

Przystąpił z udaną nieśmiałością i uchylił
lśniącego cylindra.

— A... witam pana... dobrze, że pana spo-
tykam... miałam doń prośbę...

— Zawsze do usług księżnej pani...

— Ale to dłuższa historia... Nie chciałby
pan pójść ze mną chwilę?

— Tyle zaszczytu... Dokąd tylko księżna
pani rozkaże...

— Choćby na sam cmentarz?

— Tam również... wszędzie!...

Starał się nadać swym okrągło wypukłym

oczom wyraz szczerego przywiązania i na-
miętności, z trudem tylko i przez pokorę skry-
wanej...

— Pan pewnie ciekawy, komu tam towa-
rzyszę, prawda?... Dewiza dziennikarzy i ko-
biet jest wspólna. Ciekawość, czy tak?...

Kłaniał się wciąż w dystyngowanym mil-
czeniu.

— Nikt znowu z rodziny — objaśniała,
namyślając się szybko, coby zaimprovizo-
wać — jak pan zresztą wnioskuje ze skrom-
ności karawanu... Syn naszego kiedyś oficya-
listy. Nie chciał przyjąć od nikogo żadnej
pomocy i zabił się sam, wprost nie do uwie-
rzenia, pracą... Okropne, nieprawdaż?...

— Jak życie — dokończył zwyczajowo okrą-
głym frazesem najpopularniejszy z felietoni-
stów miasta.

— Ja sama tylko przypadkowo i to już na
ulicy dowiedziałam się, że to jego właśnie
pogrzeb. Byłam tak wzruszona, że przyszedł
mi naraz kaprys towarzyszenia mu na miejsce
wiecznego spoczynku.

— Iluż to zazdrościłoby mu tego za-

szczytu — zaryzykował, zresztą niezręcznie, dziennikarz.

Nie zauważyła tego cichego uwielbienia, ukrytego między wierszami.

— Czy pan uwierzy, że takie ciche bohaterstwa w życiu i tragedye mają we mnie ogromną czcicielkę?...

— Wielkie dusze w bezgłośnych tylko Kochają się czynach...

— Ślicznie pan to powiedział... Zupełnie pan tak mówi, jak pisze. Pan może być dumny ze swego talentu. Ten rodzaj stylu, jak pański, spotykam tylko w pismach francuskich... Pan powinien pracować w Paryżu...

Topniał pod wpływem pochwał i raz po raz podkręcał dziś jakby naumyślnie znów nieposzlakowanie zabarwionego, lśniącego, kruczego wąsa. Starał się nie okazywać ani cieniem gestu, iż jest zbyt dumny z towarzyszenia księżnej...

Ktoś tuż za nimi się dziwił:

— Kogo ci bogacze chowają?... Już to na sutszy karawan mogli sobie pozwolić.

Uśmiechnął się z zadowoleniem w duszy, że jego postać, zdobną wytwornym cylin-

drem, łączą tak łatwo z osobą wspaniałej z linii i kształtów księżnej.

— Będę potrzebowała niezadługo pańskiego talentu, powagi i popularności.

— Wszystko, czem jestem, jest u nóg księżnej — zaryzykował potoczyście, kończąc zwyczajowo trzema kropkami, wyrażonemi tym razem spojrzeniem swych wypukłych, okrągłych oczu.

— Ale to wymaga dłuższego, uważnego omówienia. Wie pan co? Zabiorę pana zaraz z cmentarza do siebie na śniadanie, czy do brze?...

— Nie mam szaty godowej na sobie — tłumaczył się rozpromieniony, nic sobie już w tej chwili nie robiąc, że tam w redakcyi czekają na utalentowany plon jego codziennego natchnienia.

— Darujemy to sobie przez wzgląd na ważność sprawy — rozgrzeszała go księżna.

Karawan przejeżdżał właśnie obok Bristolu. Przed wejściem stał hrabia Edzio, troszkę przypominający, jak powszechnie zapewniano, urodą księcia Poniatowskiego. Stał i patrzył niezdecydowany, co ma zrobić ze swą uro-

dziwą i lekkomyślną osobą. Tylko co wyszedł był z hotelu, gdzie stanęła właśnie od wczoraj słynna zagraniczna gwiazda, zaproszona na występy do Filharmonii. Wyszedł zaś był od niej bez porównania wcześniej, niż był to sobie zamierzył. Był skutkiem tego strasznie nie w humorze!

Właśnie miał wsiadać do ekwipażu i kazać się wieźć na Erywańską do klubu na śniadanie, gdy w tem ujrzał nad wyraz intrygujące zjawisko: piękną księżnę a obok niej swego ulubionego potentata prasy, którego często ze sobą zabierał na polowania. Szli oni oboje z powagą za ubogim jednokonnym karawanem, przejęci swą smutną rolą. Za nimi kroczyła spora grupa osób, rozgadanych i ożywionych w najlepsze.

Hrabia lubił wszelkie oryginalności w życiu, a to co widział, było istotnie jak na małym miasteczku stosunki stołecznej Warszawy wysoce niepowседневne. Skinął więc swojemu groomowi, by jechał za orszakiem, a sam wmiszał się w tłum i wkrótce dopędził oboje idących za trumną.

Wietrzył w ich postępowaniu czyn ultra-filantropijny.

— Dobry dzień dla kochanej księżnej; jak się miewasz ambasadorze szóstego mocarstwa? Kogóż to państwo grzebiecie?...

Księżna westchnęła boleśnie, dziennikarz, ściskając z niekrępującą otwartością dłoń hrabiego, pospieszył z objaśnieniem:

— Talent, który wart był lepszego losu... ofiarę marnych społecznych stosunków...

Tu zaimprovizował jeden z tych wykwintnie i z polotem przez się obrobionych tematów ekonomiczno-społecznych, które z ust jego wychodziły tak gładko i kwieciste...

Hrabia zamieniał podczas tego ze złotowłosą księżną coraz to weselsze spojrzenia. Uwielbiał ją zawsze otwarcie, choć zeń kpiła dyskretnie, ale dotkliwie. Spotkanie jej, choć w tak smutnych warunkach, uważał za szczęśliwą wróżbę całego dnia...

Patrząc jej w oczy długo i przenikliwie, pytał:

— Czy wolno przyłączyć się do pochodu bodaj na ćwierć ulicy?... Mam zamiar zasłu-

żyć sobie przynajmniej na sto dni odpustu przy tej sposobności...

Księżna, która lubiła jego żarty i humor, poweselała ogromnie.

— Sięgnij hrabio choć po tysiąc... Wobec twych rozlicznych grzechów będzie to ledwie kropla na szali...

— Skrucha mnie ogarnia... Pójdę za wami, dokąd każecie...

Starał się przybrać o ile można najbardziej smutny wyraz twarzy, ale szło mu z trudnością...

Wreszcie pod wpływem całkiem nie odpowiednich w danej sytuacji myśli odsunął się z felietonistą nieco od księżnej, a widząc, że zatopiła się w swych dumaniach nastrojowych, zaczął z nim szeptać z wielkiem zajęciem:

— Ostatecznie wytłumacz mi wszystkowiedzący, skąd jej się wzięła ta nieprzystępność?... Prawiłem jej dusery przeszło godzinę, zjedliśmy przepyszne śniadanko z godnem »białem«, napomknąłem coś o niezwykłych szmaragdach i na nic. — Pozostała chłodna do końca jak moja laska, gdy ją na dłuższy czas postawię w kącie.

Felietonista, mając zaufania w najbardziej dyskretnych sprawach hrabiego Edzia, przybrał minę Pytyi wyrokującej:

— Bo najpewniej dziś wieczorem śpiewa... Niech hrabia upewni się przed afiszem...

— No dobrze, kochanie, ale co to ma jedno z drugim wspólnego?...

— Ma i wiele...

— Ciekawym?...

— W dniu występu aż do wejścia na scenę nie wolno szanującej się śpiewaczce pozwolić sobie na żadną ekstrawagancję... Tak... Żadnych wzruszeń... To szkodzi, osłabia krtań, może spłoszyć wieczorem całe powodzenie. Wielkie gwiazdy nigdy o tem nie zapominają.

— Tak powiadasz... hm... to dziwne. Bo ja im więcej mam do czynienia przedtem z piękną kobietą, tembardziej potem karta w klubie pcha mi się do ręki...

Tu jednak zorientowawszy się, że księżna coraz bardziej nachyla się ku nim i ciekawa jest ich rozmowy, zrównał się z nią co prędzej i, przybierając nastrojowo przygnębiony wyraz twarzy, zauważył smutnie i z uczuciem:

— Więc ten tam biedak naprawdę zapra-

cował się na śmierć... To nieroztropnie... Jak mało jest wogóle poczucia higieny w naszym społeczeństwie, jak mało...

A wielki felietonista dorzucił zwyczajem swoim zgrabnie i okrągło:

— Tak... tak... rozdziobią nas kruki, wrony...

Z tem wszystkiem widok wytwornej księżnej, urodziwego hrabiego i popularnego felietonisty robił swoje. Tuż obok nich wyrósł naraz jak z pod ziemi sprawozdawca tego samego organu, z którego łamów największy z felietonistów lał stale na ciemne rzesze miejskie zdroje swego talentu. Sprawozdawca zwietrył sensacyę i nie przeszedł obok niej obojętnie. Już wyjął swój znany notatnik i zapisywał.

To dawało do myślenia przechodniom. Jaki taki przystawał, spojrzzał, a najczęściej przyłączał się do orszaku. Miłą jest rzeczą brać udział w pochodzie, którego opis ukaże się tego samego dnia w numerze popołudniowym najpoważniejszego pisma.

Dwaj żałobnicy, choć każdy z nich szedł po innej stronie trumny, wymieniali co pe-

wien czas wyrazy coraz to bardziej rosnącego w ich sercach podziwu:

— Jak się go wynosiło z domu, to ani pies nie wyjrzał ze złamaną nogą... a teraz patrzcie, pogrzeb najpierwszej klasy...

— Co to jedna kobieta może... Ale daj jej Boże zdrowie, bo obiecała dobrze na piwo...

— Jeszcze się gdzie jaki ksiądz gotów trafić po drodze...

— A co myślisz, że nie?... Jużby wtedy nic nie brakowało do parady — replikował żałobnik z przeciwnej strony i wytarł uroczyście czerwony nos w wyrudziały rękaw zniszczonej liberyi...

Jakoż zakatarzony sługa śmierci nienajgorszym okazał się prorokiem. Bo oto w tej chwili na rogu Bielańskiej od lewej strony Senatorskiej wyłoniła się dostojna postać księdza kanonika, tego samego, który z godną podziwu energią potrafi z pomocą władz przeprowadzić dla ludności najuboższej zniżkę cen węgla właśnie podczas zim najsroższych.

Ujrzawszy tłum zagadkowo wyszukanej publiczności, odprowadzający ubogi jedno-

konny karawan, prałat poważnie zastanowił się. W tej chwili oczy jego spotkały się z postacią hrabiego Edzia, idącego po lewej stronie księżnej. Ceniący humor, kapłan lubił ją niekiedy, najpewniej z powodu koloru jej włosów, przyrównywał do pokutującej Magdaleny. Mniejsza o nią, ale hrabia Edzio... Tak go właśnie szukał... Doskonale...

Za chwilę już dotarł do nich i witał się wylanie i serdecznie:

— Co też ja widzę?... Moźni tego świata postępują za trumną ubogiego... A to pięknie, a to ślicznie... Jakże się z tego musi cieszyć Ten, który ponad obłokami...

Urodziwy hrabia uśmiechnął się, nieco żenowany tą pochwałą, popularny felietonista z zadowoleniem podkręcał sumiaste i właśnie dziś jakby naumyślnie nieposzlakowanie przyprowadzone do swej pierwotnej kruczej barwy, wąsy...

Złotowłosa księżna, lekko zarumieniona, pomyślała, nie bez chępliwości, że to ona jest autorką dzieła, które oto tak bardzo się podobało Temu, co ponad obłokami...

Przybyły prałat z widocznym zamiarem

przyłgnął z miejsca niepodzielnie do hrabiego. Ujął go pod rękę, jakby w obawie, aby mu się nie wymknął, i powiedział:

— Pozwolisz, kochany hrabio Edwardzie, że cię obmówię porządnie przed twą ciotką ordynatową. Zawsze mi się tylko skarży na ciebie. A to, żeś ateusz, a to że w kościele nie bywasz, a to, że się w teatrze bałamucisz. A tu ten ateusz i bałamut idzie za trumną maluczkiego, aby mu oddać ostatnią posługę i innym jeszcze swym przykładem świeci...

Hrabia uśmiechał się w dalszym ciągu, prałat zaś ubijał sprawę z właściwą sobie żywością, odrazu, na gorąco:

— Zatem powie się zbożnie i pięknie, co się widziało, przyświadczy najserdeczniej, jak tylko da się, ale... przysługa za przysługę... Czy zgoda?...

— Jeżeli ksiądz prałat sobie tego życzy...

Hrabia wiedział, o czym mówił zaufany powiernik jego ciotki ordynatowej. Całe miasto wiedziało o tem równie doskonale. Hrabia, który szumiął wesoło już od lat kilku, zaczynał być w coraz trudniejszym położeniu

finansowem. Chciał więc z powodu tego poprawić na gwałt stan swych bieżących interesów większą pożyczką, którą mu proponowano w jednym z towarzystw asekuracyjnych. W tym celu jednak było konieczne prawne przyzwolenie ciotki ordynatowej, posiadającej prawo dożywocia na rozległych dobrach hrabiego. Ciotka zgody tej uparcie dotąd odmawiała. Istotnie, rozważne słowo wpływowego prałata, rzucone w stosownej chwili, mogło zdziałać tu wiele...

— Hrabia ma zamiar dojść aż na cmentarz? — upewniał się ożywiony prałat.

— Istotnie... — potwierdził zagadnięty, prawie mimowolnie. — Taki piękny czas...

— Prześlicznie, zatem pogadamy obszernie... Już moja w tem głowa, że ciotka ordynatowa nie odmówi swego przyzwolenia. Hrabia uzyskasz zatem poważne środki w swoim ręku ale wtedy... części ich żądam dla dobrej sprawy społecznej, która jest celem życia mego...

— Cóż to takiego — pytał urodziwy ulubieniec szczęścia, z rozpaczą zazdroszcząc równocześnie felietoniście zajmującej rozmowy

z księżną, która wydała mu się ogromnie rozbawioną i zajętą opowiadaniem dziennikarza.

— Celem tym są tanie mieszkania dla niezamożnej ludności... Rzecz to potężnej przyszłości i doniosłości. Muszę ją o tyle postawić na mocnych nogach, aby już potem szła przed siebie własnym rozpędem. Chodzi mi zatem nietylko o poważny zasiłek od hrabiego, ale także o jego nazwisko na czele Zarządu.

— Ależ ja się na budownictwie wcale nie znam...

— To nic nie szkodzi. Chodzi głównie o magnetyczny blask wielkiego nazwiska, jeszcze nie przeciążonego pracą na innych polach... Rzecz tę, która jest na razie w związku, musimy pchnąć odrazu silnie na przód...

Tu lunął na urodziwą głowę hrabiego, tak bardzo przypominającą księcia Poniatowskiego, całym traktatem ekonomiczno-filantropijnej natury, a tak przytem zawiły, że hrabia na próżno usiłował podążyć za wątkiem jego myśli.

Tymczasem po przez gąszcz wywodów

prałata doleciał go fragment rozmowy, którą prowadzono tuż po za nim:

— Bo ostatecznie u licha od nikogo nie można się dowiedzieć, czyj to jest naprawdę pogrzeb?...

— Mówią, że jakiegoś poety, suchotnika, którym opiekowała się księżna. Umarł podobno w przeddzień wyjazdu na jej koszt do San Remo...

— Nie wyszła mu widać na zdrowie ta gorąca opieka...

— No... ale karawan to mu już mogli zafundować przyzwoitszy... Takim to nędzarzy wywożą na Bródno...

— Odmówił, uważasz pan, przed samą śmiercią przyjęcia Sakramentów i dlatego niema księży oficjalnie na pogrzebie. Ten tam prałat od węgli to tylko w prywatnym charakterze się przyłączył...

Tuż z boku na prawo kroczył postaniec bez lewej ręki, gwarząc zapamiętałe ze swym znajomym z przeciwka:

— Ha... na tym świecie wszystko możebne. Więc pięć rubli powiadacie?...

— A tak... Sam hrabia, ten co idzie za

tym grubasem w cylindrze, ma rozdawać na to takie »bony!...«

— Czemuż aż hrabia?...

— Bo to, jak to się mówi, wykonawca testamentu. Wyraźnie stoi w testamencie: każdy, kto nieproszony, a z dobrego serca pójdzie za ubogą trumną, ma dostać na cmentarzu kwitek na okrągłe rubli pięć...

— A no zdarzają się takie pobożne dziwaki... Czy tylko napewno wiecie?...

— Jak was szanuję... Ta hrabina w tym dużym czarnym kapeluszu z białymi piórami, co zaraz idzie za karawanem, mówiła to do karawaniarza. Ludzie słyszeli...

Wśród coraz to bardziej rosnącego tłumu przewijały się już teraz i niewiasty, sprośnym przeważnie rzemiosłem się trudniące. Takie, jak wiadomo, wychodzą przed południem dla zaczerpnięcia łask złotego słońca, a dużo czasu mając, chętnie przyłączają się do znaczniejszych pochodów ulicznych...

Obok tych zdarzali się bezzębni emeryci, dalej żwawi młodzieńcy, również brukotłukami zwani, nie brakło i adwokatów, którym w tym dniu rozpraw w sądzie nie wyzna-

czono. Reszty dopełniali notorycznie znani ciekawscy, których nigdy i nigdzie nie brak, oraz znajomi znajomych, którzy chętnie zбочą kilkaset kroków z drogi, byle pogawędzić przy nadarzonej tak szczęśliwie sposobności lub też omówić i załatwić to i owo...

Ostatecznie rezultat rosnącego w postępie geometrycznym tłumu przedstawiał się tak, że kiedy miano skręcać w Dziką, aż trzy kolejno tramwaje musiały się zatrzymać, by orszak mógł przejść spokojnie i bez zamieszania...

Jak widać, przykład Demostenesa, który nie wahał się porzucić mównicy publicznej, aby przypatrzeć się pociągającej za sobą tłumy Fryny, nie pozostał i na przyszłe wieki bez naśladowców...

Głównie jednak na powiększenie się tłumu wpływała wieść o owych pięciu rublach, które miano rozdawać na cmentarzu. Nie potwierdzana przez nikogo stanowczo, ale też i nie zaprzeczana, utrzymywała się wieść tą samą siłą faktu i robiła swoje. Za złotowłosą księżną, budzącą coraz to większą sensację na tle ubożego jednokonnego karawanu, po-

dażał legion gawiedzi, niezbyt dowierzającej fantastycznej opowieści, ale też i nie urywającej bezwzględnie cieniutkiej nitki nadziei, zaczynającej się od słów:

— A nuż... a jeżeli...

Wytworny przytem i jasny filcowy cylinder hrabiego, wspaniały płaszcz księżnej i jej postać majestatyczna, jakoteż kilku gogów, dystygowanie kołyszających się w ślad za nią i usiłujących od czasu do czasu popatrzeć jej w oczy, dawały dużo do myślenia...

Na tle głuchego rozgwaru, jaki panował w tłumie, nawet zresztą mocno kłóćącego się z nastrojem chwili, prałat ciągnął rzecz swoją żywo i niezmordowanie:

— To nie będzie miało zupełnie cech jałmużny... Bynajmniej... Chodzi o umozębienie ojcu rodziny, rozporządzającemu skromnymi środkami, możliwej egzystencji. Bo ostatecznie, przyznasz hrabio, że do wykonywania cnoty potrzebne jest każdemu pewne minimum środków materialnych. Gdy dziś robotnik zmuszony jest u nas połowę zarobku oddawać za zajmowane mieszkanie, czy dziwić się można, że wola jego paczy się pod

naporem nieszczęść, sumienie jego kruszeje i skłonny jest do wszelkiej zbrodni...

Zalewany tak falami wymowy energicznego prałata, hrabia Edzio zaczął żałować już, że się zdecydował iść na sam cmentarz. — Ulice, któremi przechodzili, mimo cudownie wysuszającego i oślacającego wszystko słońca, były popisowo brudne i zaniedbane, jak gdyby estetykę i higienę z tej dzielnicy miasta archanioł z ognistym mieczem wypędził już raz na zawsze. Hrabia, który ubierał się stale u Poola w Paryżu, wyobrażał sobie minę swego kamerdynera, gdy ten zobaczy z powrotem jego sponiewierane a tak zawsze nieskazitelne lakiery...

Nareszcie zrozpaczony postanowił położyć hamulec wymowie prałata:

— Kiedy ksiądz prałat zamierza być u mojej ciotki?...

— Dziś jeszcze na herbacie... Zbieramy się tam na sesję »Tow. popierania swojskich talentów śpiewackich za granicą«. Rzecz płyciutka sama w sobie, jak filiżanka czekolady, ale nie odmawiam i tu swego współdziału,

bo i przy małym ogniu dają się czasem upiec rzeczy wielkiej wagi.

— Jak ksiądz prałat sądzi, czy nasz felietonista przemówi nad grobem?...

— Sądzę, że byłoby to rzeczą piękną a nawet konieczną...

Hrabia uczeplił się tej myśli z jakąś dziecinną radością. Ulubionego swego dziennikarza wyciągał tyle razy na lekkomyślnie wesole toasty przy deserze przeróżnych obiadków myśliwskich. Wydało mu się w tej chwili rzeczą ogromnie zabawną słyszeć tego samego człowieka, rozrzewniającego się naraz nad otwartą mogiłą.

Szybko zrównali się z księżną i dziennikarzem.

— Ksiądz prałat spodziewa się, że przemówisz, kochanie, nad trumną tego biedaka...

— Mam istotnie nadzieję, że nam tego nie odmówi znakomity i tylekroć wypróbowany mówca — potwierdził prałat.

Popularny felietonista usiłował skromnie bronić się, ale projekt poparła w tej samej chwili bardzo gorąco i księżna, uważająca

się już w zupełności za mistrza ceremonii całego obrządku.

— Ja pana o to osobno, bardzo, bardzo.. proszę.

Tu spojrzęła nań tak nieodparcie długo, że skłonił się tylko z rezygnacją przed powszechnem życzeniem.

Orszak pogrzebowy zbliżał się już do wrót cmentarnych. Ozwały się dzwony smutno i przeciągle. Karawan przystanął. Dwaj żałobnicy zdjęli fachowo trumnę, umieścili ją na noszach i poszli przodem, potykając się po rozmiękłej od wiosennych roztopów ziemi.

Księżna poprawiła duży o szerokim rondzie kapelusz, a ujawszy w rękę poły płaszczka i oparłszy się o ramię hrabiego, szła tuż za żałobnikami, troszeczkę już znudzona całą tą ceremonią, co do której nie przypuszczała nawet, że tak długo potrwa. Mianowany mówcą popularny felietonista zaczął pilnie nizać piękniejsze zwroty na końcu swoich pokrętnych, kruczych wąsów.

Postępowano boczną aleją, zdążając do dzielnicy grobów uboższych. Technienie ożywcej wiosny, idące od rozpękających się drzew

i strojącej się w świeżą zieleń trawy, kłóciło się ze smutnym widokiem grobów przeróżnych fasonów, poustawianych w symetrycznych ordynkach. Hrabia raz po raz wzdychał za kaloszami, prałat pobożnie odmawiał pacierze, księżna uśmiechała się do ptaszyny, która wesoło przeskakiwała z grobu na grób, rażno poćwierkując, wcale nie przestraszona widokiem posuwającego się orszaku.

Wreszcie ukazał się świeżo rozkopany dół, gotowy na przyjęcie trumny. Obok niego czekali niecierpliwie z łopatami dwaj grabarze. Żałobnicy złożyli trumnę na ziemi, prałat pobożnie choć nieurzędownie odmawiał »wieczne odpoczywanie«, księżna poważnie i z przejęciem się przytknęła koronkową chusteczkę do pięknych i cudnie brwiami okolonych oczu.

Wreszcie prałat położył na czole swoim znak krzyża, nakrył głowę i dał znak ręką mówcy, koło którego czyhał już z gotowym notatnikiem zaprzyjaźniony kolega-sprawozdawca.

Tłum niecierpliwie i ciekawie nadstawił uszu...

Popularny felietonista odchrząknął raz

i drugi, cylindrem lekki półkrąg zatoczył, jakby uciszenia się żądał, i zaczął:

— Żałobni słuchacze!... Stanęliśmy nad mogiłą człowieka, który powinien oto w tej chwili jeszcze wpatrywać się jasnymi oczyma w to złote słońce, cieszyć się zielenią, budzącej się do nowego życia natury, wyciągać, powtarzam, młode i krzepkie ramiona do życia, brać się z niem za bary, walczyć i zwyciężać...

Tu odchrząknął, jakby dla nabrania tchu po zbyt długim okresie. Ale tego rodzaju inwokacya nie znalazła łaski u przeważnej części słuchaczy. Treść jej odbiegała zbyt od nadziei, która ten tłum rozkołysała łakomie, a której na imię była fantastyczna, z powietrza poczęta, ponętna pięciorublówka...

Mówca, niezbity z tropu, choć daleki od legendy, wypiautowanej w marzeniach przez jego słuchaczy, ciągnął dalej z zapalem:

— Czy was nie przeraża ten majestat śmierci, która z grona waszego wyrwała oto jedno takie młode, bujne życie i zgasiła je tak bezlitośnie, jak burza o północy gasi na wątłej

łupinie łódki migocące światełko, rzucone na bezmiary rozhukanych fal...

Zaprzyjaźniony kolega-sprawozdawca notował szybko:

— O północy... bujne... gasi... łupinie... migocące...

Mówca zaś zapalał się coraz bardziej własnym ogniem i grzmiał z boleści, ku niepomniernemu zdziwieniu hrabiego Edzia. Hrabia nie wiele zgłębiał treść słów, ale żywo obserwował szerokie gesty swego ulubieńca, z którego się tylekroć uśmieł w czasie obiadków myśliwskich...

— Społeczeństwo to tylko konglomerat bezdusznych istot. Oto wśród niego, jak wśród lodozwału podbiegunowych skał, zginąć może istota pełna gorącej tkliwości, rwąca się do podniebnych lotów i padająca w końcu ze znużenia, bo jej nikt nie poda pomocnej dłoni. Są zresztą serca tak dumne, że przeniosą śmierć raczej, niżby przyjąć miały kęs chleba, podany ręką odpychającą...

Oto grzebiemy jedną z ofiar takiej dumy. Kochankowie bogów umierają młodo. Ale trudno jest strasznie odszukać szczyptę ra-

dości w tem, co tylko smutkiem beziernym
przejąć może...

Mówca był u szczytu zapału, ale większość
słuchaczy, rozczarowana doń, zupełnie zresztą
bez jego winy, poczęła się szybko i bezce-
remonialnie rozchodzić. Co widząc, kończył
w przyspieszonym nadprogramowo tempie,
silnie rozgorzyczony:

— Z grobu tego będzie wiecznie wytry-
skać dla oczu naszych ognisty słup wyrzutu,
żeśmy mu umrzeć dali tak młodo, tak zmar-
nieć... A on, powtarzam, powinien był żyć
jeszcze, działać, dorzucać swą cegiełkę do
budowy szczęścia powszechnego, którego mu
za życia zresztą tak po macoszemu poską-
piono. Niechże mu ta ziemia, co dlań za ży-
cia tak ciężką była, lekką będzie choć po
śmierci!...

Skończył i cisnął okrągłym ruchem grudek
ziemi na trumnę. To samo uczyniła po nim
księżna, po niej prałat, wreszcie hrabia a po
nim ci z nielicznej już garstki, którzy mieli
cierpliwość doczekać do końca kwiecistej mowy.

Grabarze wzięli się z pośpiechem do pracy.
Prałat pobożnie mruczał: Angelus Domini...

Ceremonia była skończona. Księżna osą-
dziła, że była nieco za długa i że w obrę-
bie cmentarza straciła wiele na swej malowni-
czości i charakterystyczności. Przytem uczuła,
iż jest już przerażająco zmęczona i z przy-
jemnością pomyślała o chwili, w której spo-
winie się u siebie z powrotem w miękki je-
dwab swego ulubionego kimona...

Widząc, że dwaj żałobnicy wpatrują się
z łapczywością kundysów na jej ręce, sięg-
nęła do portmonetki i cisnęła im z niedba-
łym gestem po sztuce złota. Zgięci w ukło-
nach, zniknęli wkrótce, spiesząc do wyczeku-
jącego na nich trzeciego kolegi na karawanie.

Księżna, zdecydowanie już znudzona, po-
dawała rękę hrabiemu i prałatowi...

— Mille grâces za towarzystwo w tak
smutnem przedsięwzięciu...

— Bóg nam to policzy kiedyś w chwili
rozstrzygającej — wyrokował prałat...

Dochodzili do bramy cmentarnej, gdzie cze-
kały powozy. Koło karawanu, który nie od-
jechał, kręcili się jeszcze żałobnicy, dzieląc
napiwek na trzy części.

Zasłużony, lecz coraz mniej szczęśliwy, wy-

mowny felietonista, przykro teraz zapomniany przez księżnę, z rozczarowaniem nieskrywanem patrzył na nią.

Jakby zapomniawszy o ofiarowaniu mu zaproszeniu na śniadanie, zbliżała się już do swego powoziku. W ostatniej jednak chwili zwróciła się doń, jakby przypominając coś sobie.

— Więc pan kochany nie zdecydował się ostatecznie?... Co za szkoda... Lecz powetujemy to sobie innym razem. Niech pan czeka zatem listownego zaproszenia. Bardzo będę rada, bo mam naprawdę prośbę... Do miłego widzenia...

Nie czekając odpowiedzi, podała mu dość obojętnym ruchem rękę, wsiadła do powoziku i deresz ruszył z kopyta.

Bez porównania łaskawszym dla potentata opinii okazał się zato hrabia, stałe dochowujący mu sympaty.

— Podwoję was — zapraszał uprzejmie równie prałata jak i ofiarę kaprysu księżnej, obu wskazując miejsce w swoim powozie.

Prałat dziękując, przystanął naraz zamyślony.

— Ostatecznie jednak objaśnijcie mnie drodzy, kto był ów biedak, tak godnie przez nas pogrzebiony?

— Mówca nam to powie najlepiej. Zatem kochanie, czekamy...

— Sławiłem na odpowiedzialność księżnej... Bo jeśli mam być szczery, to nieboszczyka nawet z nazwiska nie znam i do tej chwili wcale go nigdy na oczy nie widziałem... Spotkałem księżnę na rogu Wareckiej, idącą za konduktem, więc się przyłączyłem...

— Sławiłem jak zawsze in blanco — żartował szczerze ubawiony zakłopotaniem ulubionego dziennikarza, hrabia Edzio — zatem dowiemy się u ostatniego źródła.

Tu zwrócił się do żałobników, którzy czaili się z boku pokornie, licząc jeszcze na uśmiech losu ze strony zdążających ku powozowi. Jakkóż nie omylili się.

— Oto jeszcze osobno odemnie — pytał ze stosowną zachętą hrabia — lecz niechże wiem, kogo uczciliśmy tak godnie, fatygując się aż tak daleko?

Pierwszy z żałobników z zakłopotaniem wytarł sobie nos. Ale drugi był rezolutniejszy:

— Co tam ukrywać, proszę wielmożnych panów... Nie wiele on był wart. Coś tam pomachlował w biurze z pieniędzmi i, żeby go nie aresztowali, przedziurawił sobie głowę kulą...

Prałat pokiwał z rozżaleniem swą szanowną głową. Ale hrabia wpadł w doskonały humor.

— A to ślicznie nas urządziła księżna... Trudziliśmy się na cmentarz za nieboszczykiem defraudantem, jak za dostojnikiem jakim. No, ale jak ty teraz wyglądasz kochanie ze swoją pochwałą nadgrobną?

Popularny felietonista znalazł jednak w lot okrągły i cięty frazes na swoją obronę:

— *Ce que femme verra, Dieu le verra...*

A widząc, że zaprzyjaźniony kolega sprawozdawca jeszcze nie odszedł i widocznie chce się z nim porozumieć, wychylił się w ostatniej chwili ku niemu z powozu i zdecydował krótko:

— Ale o tym pogrzebie nie dajmy w numerze dziś wcale. To rzecz zupełnie nie warta wzmianki...

I odjechali...

GDY SIĘ KOCHA...

(Z nieprzesłanych listów)

Ten mój list w zestawieniu z kodeksem konwenansów codziennych, to szaleństwo. Czuję to doskonale. Niemniej, szaleństwo takie kuszące, tak nieodparcie każące się popełnić...

Darować mi, że się go dopuszczam — —

Czy da się żyć wciąż trzeźwością codziennego trybu, który nam życie bezlitośnie odrutował?...

Przeciwko mnie najkarygodniejsza dziwaczność sytuacji. Nieznajomy daleki — nieznanomiej dalekiej... Choć wysnionej i tak szalenie pożądanej, umiłowanej...

Oto niosę całą wicherę błyskawicową wrażeń. Otworzyć jeno duże, senne oczy na świat czarów, w który powiodę, rozchylić cudne, aksamitne, z tak nieopisanie leniwym wdziękiem podnoszące się, powieki i czytać, czytać...

— — póki pod kaskadą tycyanowskich włośów nie rozpalą się tęcze złociste...

— — póki pod weneckimi koronkami rozrutnie rozchylającego się szlafroka nie wznie się się przepętniona od westchnień pierś marmurowa o refleksach jaśminów i róż...

— — póki krągłe, ciepłe ramiona nie rozchyła się bezwiednie, same, aby ogarnąć w długi, szalenie pożądany uścisk... marę...

Oto modli się ona z tego listu i ściele zawrotną wonią nardu do tych ślicznych małych stóp, ujętych w futrzane białe pantofelki...

Taką oto hypnotyzującą czarodziejsko mgławicą woni miłosnych chcę urosnąć przed wymarzonemi oczyma. Tak wyrasta o świcie na stoku góry senny opar, przezierający po przez kraj górskich smrek, jak poprzez delikatną wzorzyćście szmaragdową koronkę...

Czy to naprawdę taka wielka zbrodnia?...

* * *

Pokutuje we mnie marzycielski fantastyk. Nieutulony on jest i zarazem niepoprawny. Przyjdzie mu naraz na myśl sięgnąć po

gwiazdkę z nieba i nie znajduje w sobie równocześnie na tyle trzeźwości, ażeby myśl tak nierozsądną przepędzić od siebie, odepchnąć bez litości...

Właśnie naszedł mnie taki cudnie różowy kaprys...

Zapraгнаłem wysnionej gwiazdy z nieba. Czy ją kiedykolwiek dosięgnę?... Przeznaczeniu to tylko i Wenus białoramiennej wiadomo...

Niemniej sięgam...

Może, wracając kiedyś z tej wyprawy po pył gwiazdny marzeń, powiedzieć będę mógł tylko jak ów krzyżowiec zbożny:

— Jerozolima pozostała niezdobytą, ale... kraje, przez które przechodziłem, zdążając, by Ją osiąść, były tak bosko piękne...

Więc jarząca się tak zawrotnie wysoko tam na nieboskłonie marzeń moich, gwiazdo moja wysniona!... Stwórzmy coś, czego jeszcze nie było na tym najnudniejszym ze światów...

Nie chcemy się oto nigdy twarzą w twarz ziemskimi oglądać oczyma. Pozostańmy dla siebie wzajem aż do końca mytem, bajką cudowną, legendą rajska, z promieniami złotego słońca na szarą ziemię zlatującą...

Nawiążmy tylko pomiędzy sobą cienką, jak nitka jedwabna, miękką, a mimo to nie do zerwania, strunę obustronnego zainteresowania się sobą. Co na tej strunie wygramy, to melodia przyszłości. Nie chcemy jej jeszcze nazywać...

Dość, że to będzie melodia nasza!...

Zwierzać się, pozwól, Tobie z doli i niedoli życia, z łez jego i uśmiechów, z chmur ołowianych, gdy mnie przytłoczą, i topieli jasnych, gdy mnie twa łaska otoczy i przed wrota raju powiedzie...

Czy władny jest sen taki stać się jawą?!...

* * *

Znam Ciebie...

Znam Ciebie tak dokładnie, jak zna się bicie serca stęsknionego, jak zna się potężny rzut tęsknoty, niosącej na skrzydłach archańskich do zaczarowanego gaju, gdzie śni zaklęta królewna, na radosne czekająca obudzenie...

Znam Ciebie...

W szat czerni idącą ulicą, ileż Cię razy widziałem majestatyczną i wyniosłą... Wy-

smukłość greckiej kolumny masz w sobie a w poruszeniach swej postaci rytm salomonowej pieśni nad pieśniami...

A jest przytem w Tobie owa przesłodka nieświadomość czaru, którą rozlewasz naokół. W spojrzaniach Twych przewija się niekiedy zamyslenie Katarzyny Sieneńskiej, która marzy, jakby papieża skłonić do opuszczenia Awinionu, to znów zjawia się w nich rozmarzenie Ledy, nasłuchującej szumu zbliżającego się śnieżnopiórego ptaka...

I nie wiem sam, czy w ekstazie podziwu wprzód wielbić mam Twój tak cudnie stonowany koloryt twarzy, czy też kapryśnej weneckanki nosek, pyszniący się tuż pod przepysznie sklepieniem czołem Monny Lizy, czy też wogóle kształtów twoich cud skończony, przepiękny...

Tyle przemyślałem o Tobie, tyle już przemarzyłem...

I gdyby najstawniejszy z rzeźbiarzy świata stanął przedemną bezradny i błagał z rozpaczą w oczach o jedyny w świecie model bogini Astarte, kuszącej kamiennego Ozyrysa, wskazałbym mu bez wahania Ciebie...

I gdybym napotkał poetę, co szereg nocy nieprzespanych przemarzył o przepaścistych jak piekło, a jako niebo kojących, malachitowych oczach królowej Saby i oczy takie zapragnął ujrzeć na jawie, by je w nieśmiertelnej uwiecznić canzonie — powiódłbym go przed Twe oblicze, by ujrzeć Twoje oczy i padł w bolesnym wstydzie na kolana, że takich oczu nie wymarzył...

Z tego wszystkiego dziś zwierzam się Tobie i niech mnie dosięgnie teraz twój gniew za to, że niewolnik mizerny trwożne oczy podnieść się ośmielił na swoją Panią przejasną...

* * *

Otom jest jak zimny górski potok, spieniony i spadający z szumem po stokach Twej królewskiej wyniosłości — gdzieś hen, aż z pod wirchów śnieżystych...

Zimno spienionych nurtów moich, krynicznie przejrzyste i kryształne, — przez pierwsze mgnienie oczu może lodem ścina... Zanurzyć się w niem jednak a wnet żarem nie-

znany palić zacznie i dreszczem przesłódkim przenikać...

Ach, zanurz się tylko w potoku istności mojej, ty cudzie kształtów, linii przepychu, zjawo zaświatów wymarzonych, raz jeden tylko na wiele tysięcy lat w rzeczywistość zaklęta!...

I wysłuchać mnie chciej...

Oto ja rozwichrzem młody, ośmielony milczeniem Twojem, które sobie tłomaczy z nieśmiałością jako darowanie win, popełnionych wobec Ciebie — spowiadać się chciałbym ze wszystkich moich myśli o Tobie, wyznać ci chciałbym wszystkie uczynki moje, już dokonane na cześć Twoją, jak i te, których jeszcze dokonać zamierzam...

Fetyszu mój boski, zarówno lękiem jakimś przejmujący, a równocześnie roztkliwiający i słodyczą rajska spojrzeń swych omdlewających promieniejący aż na dno serca!... Oto ja szaleniec, młodością moją śmiały, szat Twoich się czepiam, wlokę się za Tobą jak cień w upalne południe, cały porwany nieugaszoną tęsknotą ku Tobie...

Gdybyż tak można wiecznie klęczeć u Twych stóp, gdybyż je wolno haftować pocałunkami

i tak im cześć oddawać, jak zwykł czcić smętny Egipcyanin chłodny posąg Izdydy, u wejścia do świątyni się wznoszący...

Gdybyż tak można...

* * *

Niedziela jutro...

Dzień się zapowiada jasny, ciepły, wyłocony — — —

Pewnie znów w tłumie przechodniów ujrzą Cię oczy moje, idącą zwyczajem swoim na ranną mszę do tej przecichej i tyle uroku mistycznego w sobie mającej kapliczki na Ordynackiem...

Chcę, żeby się wówczas w takiej chwili zrodził nademną jakiś pęd szalonej wichury, żeby mnie porwał jako podwórzowy świstek z rozmarzającego romansu, wydarty w najpiękniejszym miejscu, i żeby mnie rzucił w tej formie pod Twe stopy, gdy idziesz do kapliczki, aby się modlić o swoje najpewniej nieziszczone dotąd szczęście...

Tybyś mnie może wówczas podniosła, włożyła do modlitewnika i między jednym aktem strzelistym a drugim odczytała...

Gdybyż Ci w takiej chwili jakiś anioł dobry poszepnął, że most tęczyowy między dwójgim śmiertelnych, tęskniących ku sobie, raz rzucony i umocniony, bo taka przemożna rękojmia szczęścia...

Chciejmy rzucić pomiędzy sobą taki most tęczyowy nieugaszanej tęsknoty... Niech złote jego przęsła biegną wciąż za każdym z nas dwojga w nieskończoność tak, abyśmy dnia każdego już odtąd, godziny każdej, każdej niemal chwili do siebie należeć mogli...

O dozwól i spraw to, uroku majestacie, rozciągający się od granic żaru piekielnego aż po widnokręgi nieba, gdzie rodzi się manna, upojenia a hyzopy śnieżne i rozwiewne swe wonie obłokami ścielą — —

W topieli wtedy brodzić będziemy wciąż światła, a ciemności zwątpienia przestaną już dla nas być straszne...

Aż w głowie się mąci na samą myśl o tak wielkiem szczęściu...

Skiń tylko swą główką, zamysłonej o wielkiem szczęściu, Psychy a szczęście do szczęścia będzie już odtąd wiecznie z nami...

Znaku tego od Ciebie czekam jak zbawienia...

Tak czeka nurek wprost bez tchu, co się zanurzył w wód bezdennej toni i ma wyciągnąć perłę, o której marzył latami...

Jakiś duch dobry mego życia mi szepce, że posiadmę w Tobie taką bezcenną perłę, wyrzuconą falami spienionego niecierpliwie morza młodemu rybakowi. Jakże wysoko umięją nieść fale, gdy z takich głębin, jak dusza Twoja, taką perłę wyniosły...

Tak długo i zazdrośnie kryłaś swą duszę przedemną.

Czy wolno, aby w wątfęj i kručęj łupinie przesądu skrywała się ambrozja królewskiej miary dla duchów wybranych?...

I oto resztki tej łupiny, śmiałym odruchem ciśnięte, walają się już wśród ławicy piasku nadbrzeżnego porzucone... Czy może Ci być żal ich choć przez chwile, gdy gest, z jakim je cisnęłaś poza siebie, był taki piękny...

Czuję, że dusza Twa, którą wyczarowałem sobie szalonem wytężeniem woli, będzie już odtąd należeć do mnie tak niepodzielnie, jak moja od tak dawna należała do Twojej...

Już odtąd nie będzie ludzi szczęśliwszych od nas...

W splotach nieziemskich marzeń, które nas otoczą złotą pajęczyną, pójdziemy odtąd razem w słońce, w żar, w tajemniczą podzwrotnikową atmosferę, w gęstwą lianów, drzemiących rozkosznie, pod korony szumiących palm, nad Nil błękitny, hen aż pod stopy omszałego Sfinksa, zamyślonego od wieków nad bezmiarem szczęścia, w światy rzuconego, z którym jednak tak mało istot ludzkich się spotyka...

Szczęście?... Miałożby ono naprawdę nie istnieć, jak tylu ludzi ztorzeczy i bluźni?... Przenigdy!... Tylko serca śmiertelników są tak często za małe, by je objąć, by je sobą ogarnąć...

Twe serce jest jednak takie królewsko dumne, takie przebogate i ogromne, że, wszedłszy w jego wnętrze bezmierne, można w niem... oszaleć...

Daj mi w niem oszaleć... ze szczęścia...

* * *

Tak kocham cudną Twą duszę. Z jednej sztuki złota jest cała i wszystko w niej tajemniczo jak dzwon zakłęty gra i śpiewa...

Do Twej kobiecości, która urokiem swym promienieje wciąż ku mnie, zachwycone wyciągam dłonie, w Twe miękkie i wonne szaty wtulam się cały i marzę...

Czy można odepchnąć, nie utulić takiego chłopczyzny, który się tuli tak ufnie, jak zziębnięte ptaszę, znalezione bez sił na ulicy?...

Tyś także tak bardzo niespokojna...

I to jest bardzo naturalne. Są kobiety, co wyczuwają tylko naskórkiem. Ty umiesz pokochać tylko duszą całą. I oto rozkołysał się w Tobie wielki dzwon kobiecości, z najcudowniejszego kruszcu odlany. Ale nie może zabrzmieć pełnią dźwięków, bo... serce tego dzwonu jest u mnie...

Ja zaś nie rozwichrzaniem życia Twego być pragnę, ale jego cichem rozmarzeniem, słodyczą tęsknoty, spokojem aksamitnej mury, skrytej wśród zacisznej, wzorzystej polany.

Owo tak podyktowane nabożeństwo moje ku Tobie jest tembardziej podziwu, uznania

i zmiłowania godnem, że jest równocześnie we mnie wielka buntowniczość woli, napiętej w biegunowo przeciwną stronę...

Ale dlatego tak bardzo może chcę mieć w Tobie takie puszyste, śnieżne skrzydła a nad sobą takie spojrzenie anielskie, w którego promieniu tajałaby hardość woli mojej, dlatego chcę słyszeć tuż przy sobie Twój szept kojący, błogostawiony, przedziwnie dobry...

I jest we mnie równocześnie radość szalona i duma przeogromna, przeradająca się aż w hardość, żem tak subtelnie, tak pajęczko dokładnie przeczuł i odczuł Twą duszę, dobrą, wrażliwą nieskończenie i tak bardzo zniecierpliwioną szarością życia...

Tęsknota do wizji nadzwyczajnych życia jest cechą każdej wielkiej, piorunowej duszy. A ta tęsknota właśnie jest Twoim udziałem.

Oto jedna z takich wizji przesłodkich zjawiła się przed Tobą. Pokorna jest ona, cicha i niewinna, jak wełna owcy, z której białe palium dla papieża tkają...

Jakże niewypowiedzianie jestem ci wdzięcz-

nym, jakże bezwzględnie niewolnikiem Twoim za to tylko, że tej wizyi nie płoszysz, że jej nie odpychasz od siebie...

I myślę ostatecznie, że już dawno bylibyśmy szczęśliwi i to nad moc tego wyrazu, gdyby odwaga szczęścia miała choć trochę przystęp do serc naszych...

* * *

Miałem wczoraj gości...

Naszli mnie tak niespodziewanie, jak czasem stado baranów nachodzi gaj nimf i bezczeniem swoim szum brzoź i chóry skrzydlatych śpiewaków stamtąd płoszy...

Otwarłem, gdy sobie już nareszcie poszli, wszystkie okna i wypędzam przez nie chmury dymu i zatrute oddechy maskowanej zawiści, którymi zatruli mi tęcze moje złociste...

Płyną wciąż fale chłodne od ulicy i przytulają się do ruin marzeń, któreby trzeba na nowo dziś odbudowywać...

Przebaczenia, że dziś już nie zdolny haftować dla nas. Potratowali mi plantacye marzeń moich, jak słońce, ci tak bezbrzeżnie

czerstwi i zdrowo bezmyślni goście, którzy zabrali mi wieczór cały... Chory poprostu teraz jestem i rozstrojony jak arfa, gdy na niej pierrot smętny na jarmarku życia wymuszonego kankana przez szereg godzin bez litości wygrywał...

A jednak myśli moje są wciąż z Tobą. Tylko nie żądaj zawsze misternego haftu, gdy ręka, zmordowana aż do wyczerpania rąbaniem drzewa pod kuchnię życia, igły nieraz nawet nawlec nie zdoła...

Więc tylko długie tęskne »dobranoc« bóstwu mojemu przesyłam...

Ostatnia myśl moja do Ciebie należy. Strudzona nad wyraz do stóp Twych przypada i tam jak dziecko, zmęczone płaczem, pod skrzydłem matki usypia...

Dobranoc — — —

* * *

Szalona zdjęła mnie tęsknota. Rady wprost sobie dać nie mogę. Twa wizya słodka chodzi za mną i dziwne szepce wciąż zaklęcia...

Na oczach moich kładziesz dłonie, do uszu moich się nachylasz, i mówisz:

— Jam jest twem zbawieniem, jam jest twą siłą i spokojem. Ja ci nakreślę życia drogę, ponad przepaście cię poniosę. Ja cię upoję i upieszczę i raj ci stworzę tak cudowny, o jakim nigdy nie marzyłeś...

Czar jakiś strasznie urokliwy zakłętał w moją duszę biedną, każąc jej tęsknić, drzeć i kochać...

Krew mi się dziwnie tłucze w skroniach, serce drży tęskne, niespokojne, oczy szukają Twoich oczu, ręce rąk Twoich, ust Twych usta...

Prostu nie poznaję siebie...

Kaprys, szal omam, urojenie, czy też Ananke niezgłębiona w tęsknoty mnie spowiła kleścze i każe czekać wybawienia z Twych białych, drobnych, wonnych dłoni...

Gdybym tak zdołał Cię przepoić i natchnąć oto dziś tem wszystkim, czem dusza moja przepojona, czem serce, zmysły...

Czemuż tak patrzysz wciąż nieufnie?...

Czasami orle, takie orlątko krzepkie, młode, na cudną brzozę się zapatrzy, rozkocha w jej poszumie śpiewnym i już go od niej nie oderwać... Usiądzie w gęstwi jej gałęzi, muśnięcia

liści czeka drżący i są mu one takie drogie, jak samo życie, jak to słońce, co rosę spija brylantową, na skrzydłach jego lśniąca zrana.

A gdy go losy psotne, mściwe w gęstwą zapędzą gdzieś dębową, to orle, smutne i zgnębione, będzie o brzozie marzyć srebrnej i prosić bóstwa opiekuńcze, by go znów Smętnej powróciły...

Czar pragnę słyszeć Twego głosu, patrzeć na Twoich rąk powoje, poić się słodkim Twym oddechem, który najpewniej tak rozmarza, że śniąc o raju się zasypia, by znów się zbudzić i znów patrzeć na cuda boskich kształtów Twoich.

* * *

Gore mi...

Orkan szalonego pożądania wionął ku mnie od postaci Twojej i, jak Samum gorący na pustyni, całami ławami rozpalonego żaru wysusza mi gaje wiosennych marzeń, tak jeszcze cudnie niewinnych do niedawna, jasnozielonych, wątlących, ale tak pięknych...

Wściekł się we mnie naraz od zmysłowych

pożądań człowiek-zwierzę, rwie hamulce i pęta, chce nieodparcie biedz do Ciebie, do stóp Twoich szalony się cisnąć i wyć z tęsknoty nieugaszonej, która mu trzewia targa...

Rosą na spiekłe od życia wargi moje być miałaś a oto potokiem gejzeru kotłującego się na mnie spadasz, że wiję się jak potępieniec, i ukojenie chyba znalazłbym w zagarnięciu całej istności Twej dla siebie...

Czerwone myśli najszaleńszych pożądań wplotły mnie w ogniste koło pożądań bezkresnych na ubiegłą noc całą i aż do świtu mnie męczyły...

Pierwsze promienie słońca oglądały mój wstyd, gdym chłodne szkło, portret Twój okrywające, ustami spieczonemi zwilżał i w spazmach nieodpartego pożądania paznokcie sobie we własne ciało wbijał, jęczał i szlochał...

Czy wolno nawet wyznać, że byłem tak potwornie nisko słabym i maluczkim, gdy się ślubowało być olbrzymem i duchem skrzydlatym?...

Lecz daruj bezradnie rozgorączkowanej istności mojej. Byłem tak pewny, że płomienny i spalający Lucifer do owych tam,

któremi obwarowałem kochanie nasze, nie dośięgnie?...

Czemuż mi było sądzonem zawieść się tak okrutnie?...

Ale darować mnie biednemu choćby przez pamięć samotortur, którym już przeszedł. Jeśli w występku samym tkwi kara, tom ją już tak dotkliwie poniósł...

I dziś już się nie lękaj. Zmogłem się i silnym już jak granitu skała, co drwi z rozszalałego orkanu. I dziś z tęsknoty za jednym dotknięciem Twej dziecięco małej dłoni mogę skonać pod Twym progiem, ale do Twych podwoi nie zapukam...

Stanęła już w nich przeciwko mnie, jak Archanioł z mieczem ognistym — Ironia... Złotą laseczkę mistrza ceremonii trzyma w opancerzonej rękawiczką dłoni a równocześnie jednym grymasem swej sarkastycznej twarzy potrafi mnie znieruchomić i na więzi trzymać...

Ja zaś stoję, patrzę i analizuję. Piekielny półśmiech przyrósł do mej twarzy i będzie już odtąd trzymać się mnie wiecznie...

Jakże kruchym jest dogmat umiłowanej pe-

wności siebie tam, gdzie fala zgotowanej krwi takie przeokropne niespodzianki stwarzać umie... Oto ja, taki dotąd pewny siebie, jak wiking, ja, zaprzysięgły piewca mrocznych i surowych tumów gotyckich, poważny, jak szelest wyroku śmierci, w zwój pergaminowy wpisanej przez sędziów dwunastu, — tak bliski już byłem sprzeniewierzenia się sobie wśród rozwichrzenia linii tak renesansowej sytuacji, w jaką mnie fale krwi wplątały...

Niemniej chemik, wyrabiający trucizny dla drugich, gdy pomyśli o truciznie dla siebie, jest już zgubiony bez ratunku...

Rozpaliłem światło u wejścia do mych marzeń, by jego promieniami przebić mgłę nieugaszonej tęsknoty i dojrzeć horyzonty dalekiej nadziei, gdzieś tam w dali dla mnie mimo wszystko majaczącej...

Aż oto płonąć mi zaczyna domostwo moje...

Cóż pocznę biedny, gdy mi całe spłonie?...

Więc niech choć słodycz przebaczenia z Twej drobnej, ciepłej, wonnej dłoni na mnie spłyń. Za karę zresztą opowiem ci, jeśli chcesz, najpiękniejszą, jaką umiem, bajeczkę o klonie, co się zakochał w złocistej pomarańczy i został

potem porąban na paliwo do fabryki krochmalu...

Na poemat bowiem zbraknie mi słów. Jakże wyśpiewać godnie to, czem przepojony jest każdy atom, rozmiłowanego w Tobie aż do szaleństwa, ciała, gdy »w języku żyjących niema na to głosu«...

* * *

Za wyznania wczorajsze wart jestem uduśnienia tasiemką twego wytwornego gorsetu. Zgadzam się najzupełniej na ten rodzaj śmierci, lecz nim ją poniosę, posłuchaj jeszcze mej ostatniej opowieści...

Był dziki, nieufny, samotnik... Wśród niedostępnego tylko krążył boru, w oczeretach skrywał się bezbrzeżnych. A gdy schodził do ludzi, co mu się niekiedy zdarzało, miał dla nich twarz ostrożną i pełną lęku...

Takiego właśnie, gdy śpiewał hymn do nieugaszonej tęsknoty, przywabiono spojrzaniem, pełnym jedwabnego oklasku.

Pochodził od... Pani.

W chwili, gdy m go słuchać zaczął, spło-

niony i drżący, czy przypuszczałem, że się to wszystko tak beznadziejnym przekrwieniem mego serca skończy.

Takie zaś przekrwienie serca w języku codziennym nazywa się zakochaniem bez pamięci. Wraz z niem przyszedł wnet chwile szału, zniecierpliwienia... W jednej z najśrodszych takich napisałem ów list przedostatni, rozpaczliwy jak wzrok człowieka, uwieszono nad przepaścią...

Od tej chwili strofy mi się wikłać zaczęły i plątać. Czułem to, jak się czuje trzeszczenie dachu, który nam za chwilę ma runąć na głowę.

Więc przyspieszyłem sam katastrofę. Wolałem to, niż dławiącą niepewność, od której już zmysły powoli tracić zaczynałem.

Tak porwał się w strzepy nasz złotogłów marzeń a z nim porwały się nici złote, któremi były spojone nasze, tak cudnie choć zarazem tak beznadziejnie rozkochane, istności...

* * *

Finale...

Akord jeden... drugi... trzeci...

Jakiś duch dobry po klawiszach wspomnień pieszczonymi palcami błądzi i gra...

Śmieje się przez łyżę, to znów łka, flażoletami psoci, skarży się, tęskni... gra... i rozmarza...

Dziwnie upajająco rozmarza...

Lecz nie!... Rozumu, rozsądku, zastanowienia, czulej ale niemiłosiernie trzeźwej wagi aptekarskiej...

Na jednej położyć serce, przęcając się od nadmiernej tęsknoty i wylękłej rozkoszy wy-czekiwania, a na drugiej samóbójczy rozsądek i zastanowienie, oboje razem tak ciężkie, jak bezduszny kamień albo sumienie lichwiarza...

Przeważył kamień...

Więc opróżnić szalkę, gdzie serce... Zrzuć ten kawał drgającego mięsa, oplatanego misternie nerwami, jak srebrną siecią. Cisnąć na rondel kucharce — ironii...

Bewszytk!... Bewszytk będzie, panowie i panie!... Zaraz po majonezie... Taki po angielsku, jeszcze krwawiący, jeszcze z utajonemi resztkami życia.

To nic, nic... Nożem po nim ze stali, solidnym, wyprawnym...

Ze tam coś pod zgrzytem noża o talerz jęknęło, jakieś beznadziejne »kocham!...« zaskowyczało, to nic, nic...

Głupstwo... Zagłuszyć to rozmową o pogodzie, która osusza naokół błota w okolicy, o pałacu pobliskim, gdzie są komnaty całe, futrem wyścielane, o nocach, światłem księżycza haftowanych, które się kończą świtem, chłodem i zwarzeniem...

Zagłuszyć, zagłuszyć...

*

...właściwie, to chciałem Pani przesłać jeszcze taki banalny, przeciętny ostatni list, taki nic nie mówiący, jak cennik win, odczytany jeszcze zaspanemi oczyma. Miał być naprawdę niezłożony, prosty, nieciekawym, taki pierwszy z brzegu, jak ciastko z torciku, wykrojone sumiennie nożem cukiernika z przeciwnika.

Czemuż nie umiem pisać listów ciężką, niezgrabną ręką spędzacza wołów i obrazoplujcy. Jakżebyem pragnał...

Nie potrafię...

Tyle zygzaków myślowych... Wiem... Ale

musisz przebaczyć. Ucieszny arlekin, cierpiący na przeczulenie worka sercowego, bywa w ceremoniach pogrzebnych bardzo śmieszny i... smutny...

Ten list ostatni właśnie jest taką ceremonią pogrzebną...

*

Przełamało się we mnie wiele rzeczy od czasu, gdy Cię poznałem. Nawet pokory nauczyłem się dla Ciebie... Tylko dla Ciebie...

Oto oplatam się natrętnie myślami w koło Twej wiotkiej postaci i marzę...

Warta jesteś wciąż marzenia...

Pamiętasz?... Mogłaś mnie przygarnąć, narzecie... w końcu... po miesiącach szalonego wyczekiwania... wyczerpanego i szczękającego z zimna... skinąć jednym nieznacznym odruchem swej drobnej, ciepłej dłoni i uwieść do siebie na rozkosz, na szczęście nie kończących się upojeń, na szaf...

Z płonącymi oczyma przysięgałbym, krwią nabiegłymi ustami zwilżałbym Twoje stopy i jak w szmer fontanny podczas spiekoty wsłuchi-

wałbym się w twe aksamitne, ciche słowa,
szeptane mi do uszu...

— Mój... taki mój... rozkochany, ufny...
niezepsuty...

*

Liryzm, znów ten okropny, przeklęty li-
ryzm... Przepęłnił mi serce dziwacznie i wciąż
się zeń przelewa...

Ja zaś chcę być trzeźwym, strasznie trzeź-
wym, jak postać komornika w chacie wdowy
z sześciorgiem dzieci...

o Pani mój liryzm mógłby tylko zaszkodzić.
Pani w tej chwili się leczy, potrzebuje spo-
koju, równowagi...

Przyszedeł Pani kaprys jedwabnej bezmyśl-
ności. A że nasze kochanie trudno było z ta-
kim kaprysem pogodzić, więc mnie pozosta-
wiono swemu losowi...

I znów mi zimno, tak zimno, jak biednemu
Tomkowi u boku króla Leara...

I dlatego ten list mój ostatni taki szczę-
kający...

*

Tylko nie marszcz tak Twych przepięknie
narysowanych brwi i daruj mi z królewską
wyniosłością humorek szczenięcia, które za
chwilę ma być utopione. Takie skomlenie
skrywa w sobie niekiedy jęk beznadziejnie
przejmujący...

Ale Ty się nie przejmuj...

Myślmy lepiej o brzozach, ucharakteryzo-
wanych na cyprysy, o grzmotach blaszanych,
o krwawym refleksie, jakim prześwieśla sok
malinowy...

Takie myśli działają tak uspokajająco, tak
kojąco...

Przynajmniej spoczne — jak mówiła śmier-
telnie zgoniona szkapa fiakerska, zapadając
się umęczonem cielskiem w dół z niegaszo-
nem wapnem.

Spoczne, spokojny, z półuśmiechem Greka,
bawiącego się cykutą po powrocie od Dio-
tymy, ponętnie słodkiej hetery, która mu ofia-
rowała swą miłosną pieśczętę za... cenę jego
własnego życia...

*

Że takie przejścia nie pozostają jednak bez śladu... Istotnie... Przychodzi po nich moralny katar...

Do wyleczenia... Bierze się kompres rozsądku, silnie wykręcony pesymizmem, umieszcza się go pod piętą żebrem po stronie lewej na piersi, a potem... potem pakuje swą ziemską powłokę do łóżka bezmyślności i to na jaknajdłużej.

Z pewnością pomoże...

A jeśli nie?...

To się zrywa z łóżka, podchodzi do okna, otwiera je na wiosenny sad marzeń i długo, długo... wpatruje w srebrną poświatę księżycy...

Tylko musi być wokół cicho, bardzo... bardzo cicho...

Aż się znów w duszy coś rozegra...

Już gra...

Jakiś duch dobry po klawiszach wspomnień pieszczonymi palcami błądzi i gra...

Śmieje się przez łzy, to znów łka, flażoletami psoci, skarży się... tęskni... rozmarza... i gra...

Finale gra...

JELENIĘ

Będzie tu za chwilę osobiście, czy też nie będzie?... Oto pytanie, nad którego odpowiedź próżno sobie łamał głowę Stawicki. O powód mniejsza, dość że zdecydowała się tu raz nareszcie jawić sama osobiście...

Swoją drogą skąd jej się wziął naraz ten kaprys posiadania z powrotem wszystkich tych listów, które dotąd od niej otrzymywał?... Ale kaprysy kobiet są rozkazem. Będzie je miała z powrotem wszystkie co do jednego. Choć są mu one wszystkie tak bezcennie drogie... Przejawiła się w nich tak dokładnie jej kapryśna, nerwowa i tak bardzo smutna dusza...

W tej chwili było nimi zasłane w nieładzie całe prawie biurko. Bił od nich subtelny zapach jej perfum, który go tak odurzał i rozmarzał. Wszystkie były pisane na wytwornym, podłużnym angielskim formacie. Jeszcze dziś rozstanie się z nimi. Ale za jak kosztowną cenę... Zdecydowała się przyjść po nie sama. Nareszcie, nareszcie, po raz pierwszy...

Tylko czy naprawdę stanie się to jeszcze dzisiaj?... Trzeba się zbroić jeszcze trochę w cierpliwość. Najdalej za godzinę ma mu odpowiedzieć na ten temat jak można najbardziej stanowczo. Więc też spoglądał raz po raz na tarczę zegara, zdobną oryginalnie w skrzydła i głowę nietoperza, pomieszczoną ponad dużą pasową kotarą, zwieszającą się na efektownym mosiężnym lambrekynie.

Wreszcie zadzwonił.

Przed portyerami drzwi wyrosła jak z pod ziemi niema, wyprostowana postać Walerego, gotowa na skinienie.

— Wiesz, że czekam niecierpliwie. Czemu już nie wszedłeś?...

— Tylko com wrócił...

— Odpowiedź przyniosłeś?...

— Jeszcze nie... ale...

Porwał się zniecierpliwiony od biurka.

— Ale co?... No cóż pani powiedziała?...

— Że później... jak napisze, to sama przysze...

— Czemuś nie prosił choć o ustną odpowiedź, jak ci kazałem?...

Lewa dłoń lokaja, dotąd przymurowana do nieruchomości z uszanowania lędźwi nóg jego, otworzyła się naraz charakterystycznym gestem, mającym oznaczać:

— Com nie miał prosić, ale nie dało się zrobić...

Mrużąc zaś sprytnie wyblakłymi oczyma, głośno dokończył:

— Powiedziała pani, że tak od razu nie może... że trochę potem... wiadomo...

— Głupiś... dość...

Stawicki, przerwawszy mu tak stanowczo i brutalnie resztę nieoczekiwanych wyjaśnień, począł niecierpliwie krążyć po puszystym, miękkim korcie, jakim posadzka jego gabinetu była w całości pokryta.

Znów na chwilę przystanął zafrasowany.

— Z panem Łomżyńskim nie zetknąłeś się — co?...

— Do usług... jak zawsze, nie. Spał... Późno dziś przyjechał z polowania. Właśnie lokaj Jan, mój dobry kolega, szedł go budzić, jak wychodziłem, bo miano podawać niedługo do obiadu...

— I co myślisz ostatecznie będzie?...

— Do usług... myślę, że będzie dobrze... wiadomo...

Stawicki przystąpił doń poufale i dłoń swą położył mu łaskawie na ramieniu. Tak w tajemniczał Wallenstein swych podkomendnych z pod ciemnej gwiazdy w swe najtajniejsze plany.

— O ósmej najdalej byćby tu powinna, rozumiesz?...

Walery skinął porozumiewawczo swą wyschłą w służbistości twarzą.

— Gdyby do wpół do ósmej nie było żadnej odpowiedzi, skoczysz, rozumiesz, raz jeszcze i powiesz swemu przyjacielowi Janowi, że musisz przynieść jakąkolwiek odpowiedź, czy pojmujesz? musisz...

— Do usług... Ale odpowiedź przyjdzie sama, niema się co bać. Koperta znowu będzie taka marmurkowa, taka pachnąca, jak te tam...

Wskazał wyblakłemi oczyma w stronę biurka. Ale ponownie rzucone mu krótkie »głupis!«, znów przerwało tak pięknie zapowiadający się upust jego wymowy a on sam znikł bez szelstu za portyerą drzwi.

Stawicki pozostał znów sam. Pociągnął głęboko haust dymu i utonął w myślach. Głos jakiś wewnętrzny zapewniał go, że ona jednak przyjdzie. Ta myśl zaczęła go jak można najprzyjemniej rozmarzać.

Jakie też odniesie wrażenie, gdy tu wejdzie po raz pierwszy. Pomimowoli raz jeszcze ogarnął całość gabinetu. Lustracya wypadła uspokajająco... Był dumny z tego swojego słodkiego schroniska. Ten gabinet ulubiony był jego słabą stroną. Urządził go z taką starannością, z takim nakładem pomysłowości, trudów i kosztów...

W zasadzie całość to była ogromnie niezłożona i prosta. Przedewszystkiem zaś nadzwyczajnie przejrzysta w linii. A to przecie stanowi o harmonii. Tuż naprzeciw drzwi wchodowych stało biuro *empire* z nadzwyczajnie szlachetnymi bronzami poprostu muzealnej wartości. Tłem dla biurka tego była w tymże stylu gablotka, cała wypełniona książkami, których złożone tytuły ujmowały postać siedzącego w tło inteligentne, szanowne. Na takim tle fotografują się zazwyczaj dla ogółu mini-

strowie Rzplitej francuskiej i wogóle ludzie niezwyčajni.

Punktem dośrodkowym gabinetu tego, urządzonego z buduarową miękkością i polotem, była jego otomana nizka indyjska a nad nią oryginalny, także indyjski, bardzo kosztowny baldachim. U stóp otomany leżała rozciągnięta puszysta biała skóra niedźwiedzia, mimowoli napraszająca się, by się na niej wytarzać...

Tuż naprzeciw tej sardanapalskiej otomany zwieszała się, rozciągnięta na lśniącej, mosiężnej dźwigni, ciężka, fałdująca się, pąsowa kotara. Jej kolor doskonale zlewał się z indyjską materyą otomany, ze złotymi kwiatami baldachimu i białą puszystą skórą niedźwiedzia, rzucając przytem na całość gabinetu tego refleksy namiętne, mocne... Przytem kotara ta zakrywała duże, weneckie okno, które Stawicki najczęściej zasłaniał także i we dnie. Zdaniem jegoienne światło wykluczało marzenia niezwyčajne, egzotyczne, a że te pragnął mieć jaknajczęściej, więc też najczęściej wykluczał światłoienne.

Najbardziej jednak zastanowienia godną dekoracyą tego gabinetu był zegar, pomieszczony

tuż nad kotarą, na framudze przesłoniętego nią okna. Tarcza jego, obramowana nastrojowo skrzydłami nietoperza, budziła mimowolną grozę. Z głowy tego nietoperza, mieszczącej się nad tarczą, patrzyły krwawe ślepia, przeświecane światłem elektrycznym. Stawicki, inżenier fantastyk, któremu wynalazki i projekty jego śmiało rzucanych mostów zapewniły już możność prowadzenia jedwabnego życia, lubował się w tego rodzaju efektach kontrastów. Ślepia tego nietoperza, patrzące z nad tarczy zegara ku otomanie, zdawały się wciąż grozić i przed czemś ostrzegać...

Jakie też wrażenie robi na tej, którą z lubością nazywał przekleństwem swego życia, choć ono za chwilę obiecywało mu jaknajjaśniejsze chwile. Byle tylko mieć już raz tę pewność, że przyjdzie...

Ile on ma rzeczy jej do opowiedzenia, tak blisko, może z twarzą przy twarzy, jej, od lat czterech beznadziejnie straconej, jej, która mu przyrzekła kiedyś być wszystkim, wszystkim...

Z przyległego przedpokojuz ożwał się dzwonek gwałtowny i energiczny.

To ona... nareszcie...

Porwał się cały drżący, czując jak jakaś dziwna niemoc podrywa mu kolana a równocześnie oddech tamuje w gardle. Rozjaśnił światło elektryczne i utkwiał oczyma w drzwiach.

W nich zaś ukazał się z nadzwyczajnie wystraszoną miną Walery.

— Wielmożny panie... w przedpokoju jest...

— Wiem... ona... pani Łomżyńska...

— Nie... nie... wielmożny panie... on... pan Łomżyński...

— Być nie może... cóż znowu... powiedziałeś naturalnie, że mnie niema w domu...

W głowie mu zawirowało od tak niespodziewanego wrażenia. Nie był tchórzem, ale tak nieobliczony zbieg okoliczności prawie że go przytomności pozbawił. Pod wpływem pierwszego affektu podbiegł ku szkarłatnej oponie i dwa jej skrzydła gwałtownie ku sobie ściągnął. Chciał w ten sposób okno przysłonić od ulicy.

Walery powiernik zrozumiał ten ruch.

— Już zapóźno, wielmożny panie... Jak tylko wszedł, dobrze — powiada — że twego pana zastałem... widziałem światło w gabinecie od ulicy, doskonale, że go zastaję...

Rozdrażnienie Stawickiego osiągało punkt wrzenia.

— Mogłeś przecie coś naprędce wymyślić, gapiu...

— Wiadomo, ale nie dało się nic zrobić. Zobaczył tę złotą laskę w przedpokoju, bez której się wielmożny pan nigdzie nie rusza, uśmiechnął się tylko do niej, no... i nie było już co powiedzieć...

— Licho nadało... Bo niechże tylko teraz ona nadejdzie...

— To i co?... Wprowadzę tamtem wejściem wprost do sypialnego. Wiadomo... Tylko te listy tam... na biurku... trzeba co prędzej zebrać a ja tam jeszcze, co mogę, zabawię go...

Wyszeptał to wszystko półgłosem i wysunął się coperędzej. Stawicki zgorączkowany począł coperędzej zgarniać listy i wrzucać je do szuflady. W tym pośpiechu ogromnym jeden z nich spadł na dywan i odciął się tam znaczącą jasną plamą na pasowym korcie, którym była posadzka wysłana.

Nim zdołał zamknąć szufladę biurka, wszedł Łomżyński. Okazały, stąpający jak rektor uniwersytetu oksfordzkiego w pochodzie, ubrany

nieposzlakowanie przez pierwszorzędnego krawca, Łomżyński był typem gentelmana, który nic sobie nie ma do zarzucenia i któremu w życiu wszystko się wiedzie. Widać to było z każdego jego okrągłego ruchu, nacechowanego nadzwyczajną pewnością siebie, z każdego słowa, wygłaszanego z wdzięcznym, ujmującym uśmiechem.

Już od progu, ściągając niedbale rękawiczkę, mówił wytwornie, melodyjnie, słodko:

— Pozwól, ale ceremoniujesz się — uważasz, jak książę Walii. Między kolegami szkolnymi to chyba nie uchodzi...

Wyciągnął ciepło swą białą, wypieszczoną dłoń wicedyrektora jednej z najpoważniejszych instytucji kredytowych miasta ku Stawickiemu, który ją z przelotnym zakłopotaniem uściskał. Zauważył bowiem w chwili, gdy Łomżyński podchodził ku niemu, ów list, spadły obok biurka. Ten list mógł przecie zauważyć tak łatwo i Łomżyński a wówczas...

Więc zakrywając swą postacią biurko, z którego nie zdążył jeszcze zgarnąć wszystkich listów, równocześnie stanął trzewikiem na owym liście porzuconym, przykrywając w ten sposób

go swą stopą. Był w sytuacji żaka szkolnego, przychwyconego na krajaniu ławki scyzorykiem a który dość niezręcznie stara się ukryć swą psotę. Czuł to i byłby ze wściekłości na samego siebie drapał się paznokciami po twarzy, którą daremnie starał się ułożyć w fizognomię człowieka spokojnego i pewnego siebie. Wskazał przybyłemu miejsce na otomanie, równocześnie zaś usiłował być uprzejmym...

— Bynajmniej... zapewniam cię... tylko kończyłem właśnie list pilny, gdy wszedłeś... Ale to nic... już gotowy...

Gość uśmiechał się sardonicznie. Przyjął okrągłym ruchem ofiarowany sobie papierosa, zapalając go, zaryzykował:

— Boję się, czy nie był to czasami list żywy i czy skutkiem mojego najścia, uważasz, nie odszedł zbyt wcześnie...

Stawicki starał się swobodnie uśmiechnąć, choć bez powodzenia.

— Wcale dowcipne przypuszczenie, ale tym razem istotnie odbiegające od prawdy...

— Dajmy na to... przypuśćmy...

Tu zanucił:

— Jowiszku drogi, znamy cię, ach znamy cię...

Naraz przestał nucić i przeszedł w ton odrazu bardzo seryo, cukrzony, jak można najbardziej, wytworną uprzejmością.

— No, ale nawet nie pytasz się, uważam, z czym cię naprawdę tak naszedłem...

— Wolne żarty... Twoja obecność najzupełniej starczy mi za powód...

Siedzący niedbałym spojrzeniem zlustrował końce swych nieskazitelnie oszlifowanych paznokci.

— Aaa... po wersalsku... to lubię... Ale wracając do kwestyi. Oto uważasz... jakby ci to powiedzieć, oto wyobraź sobie, że moja żona serdecznie zatęskniła za tobą... daję ci słowo honoru...

Stawicki nie starał się nawet ukryć ironii, jaka nim owładnęła wobec tak lirycznego oświadczenia.

— Trochę oryginalnie importowana wiadomość. Cóż ty na to, jej mąż prawowity?..

— Ja, gdybym tak nie słyszał, co o tobie mówią, i nie znał jej charakteru tak, jak go

znam doskonale, to gotówbym pomyśleć, że mi ją bałamucisz...

— Ale na szczęście słyszałeś, co o mnie mówiła, znasz jej charakter, więc tego nie myślisz...

— Powinienbym... trzy tygodnie już, jak do nas nie zajrzałeś...

— Toby cię właśnie powinno uspokoić...

— Zapewne... Ale pierwej, od czasu, jak wróciłeś z Ameryki, byłeś u nas stale tak częstym, prawie codziennym gościem... I naraz jakby się nas wyrzekłeś... Żonisko moje tak cię serdecznie lubi. Mówi o tobie jako o niepoprawnym kobieciarzu i motylu-wietrzniku, ale przyznaje ci złote serce i królewską fantazyę... Od czasu, jak nas nie odwiedzasz, chodzi wciąż jak nieswoja. Aż mnie to uderzyło...

— Może chora?..

— To nie... Ale czy czasem nie poróżniłście się ze sobą o co?... Po takiej przyjaźni, do której tak otwarcie przyznawaliście się zawsze, byłoby to trochę dziwne... Teraz np. wracam z polowania u Czarnowskiego, wiesz tego z Wygody i pytam: Witold był?... Nie—

odpowiada mi chmurnie i jakby rozdrażniona. Widać, że nas się chce wyrzec zupełnie — myślę sobie — a kiedy tak, to trzeba go będzie ugłaskać!... No i przyszedłem... I cóż ty na to?...

Widząc jednak, że Stawicki nie odpowiada, rozserdeczniał się jeszcze bardziej:

— Słuchaj, uważasz, Witold, koledzy przecie jesteśmy...

— Ach i jacy jeszcze... Od czasu, gdy mi zabrałeś Colettę, choć ta przysięgła na mnie czekać...

Warknął wyzywająco, ani myśląc cofać tego, co powiedział. Ale Łomżyński dalekim był od utraty uprzejmej równowagi. Przerwał mu więc szybko:

— Ach znowu... Dajże pokój... Stare dzieje. Cóż nam przyjdzie z odgrzebywania ich? Zresztą, ja tu do ciebie z gałązką oliwną przyszedłem a ty najwyraźniej zwady szukasz. Czy ci nie wstyd?... Lepiej wyznaj, czy będziesz łaskaw do nas na herbatę jutro... Będzie parę osób...

Stawicki, najwidoczniej rozdrażniony, skłaniał głowę z przymusem.

— Nie, dziękuję najuprzejmiej. Nie liczcie na mnie...

— Jakto, nie przyjdiesz, odmawiasz... Ależ to obraza poprostu, po tylu słowach serdecznych od mojej żony, które ci tu powtórzyłem... I czemu to, jeśli łaska?..

Stawickiemu oczy błysnęły jak u wilka, którego szczują pochodniami. Przystał już zupełnie ważyć słowa, które wypowiadał:

— Bo mnie nie wolno na twoją żonę tak wciąż patrzeć, czy pojmujesz?... Spoglądasz na mnie tak bezbrzeżnie zdziwiony. A to przecie takie proste... Oto ilekroć ją widzę, tak bardzo piękną i ponętą a tak już beznadziejnie i na zawsze twoją żoną, to sobie wtedy myślę, czemu nie tatar, czemu nie żyjemy w stepie i czemu ci jej uwieść nie mogę na koniu gdzieś w bezmiar do swego namiotu...

Łomżyński raz po raz nerwowo strzepywał popiół z papierosa, który mu zgasał, a z oczu jego strzelały błyskawice gniewu, tłumionego najwyższym wysiłkiem woli. Wnet jednak zmógł się zupełnie i, jak na nieskazitelnego gentelmana przystało, odparł z najzimniejszą flegmą:

— Ciskasz oszczepem bardzo niebacznie. Bacz, żebyś za daleko nie cisnął...

— W każdym razie wolno mi go odrzucić z powrotem...

Ale Łomżyński, który umiał aż do podziwu zapanować nad sobą, był już prawie spokojny i, jakby nie rozumiejąc wyzywającej alluzji człowieka, który najwidoczniej utracił już równowagę spokoju, starał się całą tę scenę sprowadzić do rozmiarów żartobliwego epizodu.

— Ach, chcesz — uważam — koniecznie, żebyśmy ściągnęli miecze ze ściany i natarli na siebie jak wściekłe dwa lwy. Czy ci nie wstyd? Jednak zaimponowałeś mi — uważasz — swą otwartością. Ludzie, jak ty, nie umieją ukrzywdzić z za płotu, choćby moja żona była jeszcze stokroć piękniejszą jak jest... Twoja otwartość nie tylko mnie nie zraziła, owszem powiem, jeszcze mnie bardziej pociąga ku tobie... No dajże prawicę w uścisk serdeczny. Między dwojgiem przyjaciół...

— Tak... między dwojgiem przyjaciół takich, jak my — przerwał mu Stawicki z gryzącą ironią. Ale przyjął wyciągniętą ku sobie dłoń mimo cały swój affekt podrażnienia

i wstydząc się ostatecznie porywczosci swojej. Bo bądź co bądź Łomżyński przyszedł doń jako gość a mówił o swych sentymentach z tak rozbrajającą naiwnością, że byłoby wprost niegodnem prowokować go dalej tak uporczywie. Więc poderwał jak umiał najzręczniejszy nowy temat, chcąc skierować rozmowę na inne tory.

— Z polowania wracasz zadowolony?...

Łomżyński, rozjaśniony już zupełnie swą szanowną twarzą, pochwyił temat z równą skwapliwością, jak na arenie żongler piłkę, której ewolucyami chce zaimponować publiczności. Na punkcie swych wrażeń myślowych był nawet poważnie gadatliwym. Wiedział o tem i nie starał się nawet z tej szczerliwej winy wyleczyć. Zapalił świeżego papierosa i zabierał się wygodnie do opowiadania...

— Polowańko uczciwie zaaranżowane — uważasz — mówił, gładząc dystyngowane zarost, który łagodną elipsoidą zdołał mu twarz, rozpościerając się z każdej strony, od kąta ust ku dolnej podstawie małżowiny usznej — to jest jedyna rzecz, która ma jeszcze jakiś

sens na świecie. Daruj — uważasz — ale stawiam je wyżej nawet od twojej passyi, z jaką kombinujesz swoje mosty łańcuchowe i rozrucasz je wszędzie, gdzie potrzeba i niepotrzeba...

Roześmiał się szeroko z własnego dowcipu, ale opowiadania sobie nie przerwał.

— Bo już nie mówiąc o wrażeniach kapitałnych — tokował z nadzwyczajnym zapałem, — ale ile się człowiek jeszcze napije przy tej sposobności prawdziwej, wielkiej poezji... Nie do opowiedzenia poprostu... Widziałeś kiedy naprzykład rzecz tak cudowną jak rykowisko jeleni?...

Stawicki spoglądając raz po raz na zegar, równocześnie myślał, że ten potok wymowy Łomżyńskiego chyba dziś końca mieć nie będzie. A tu Łomżyńska a choćby odpowiedź, decydująca o jej przyjściu, mogła ukazać się lada chwila. Stawickiemu, wsłuchanemu z rozpaczy w wartki potok opowiadania, zdawało się, że wymowa jego straszliwego gościa jest rozhukanym koniem a on, Stawicki, temu koniowi przywiązany do ogona, jest przezeń

ponoszony przez urwiska skaliste i najstraszniejsze wertepy...

A tu Łomżyński rozgadał się w najlepsze... — Szkoda, że nie widziałeś... A żałuj... Rzecz nadzwyczajna... Uważasz świt... Las się budzi. Z za drzew lęklawie przedziera się słońce wschodzące. Westchnienia, uważasz, wypoczętej ziemi śłaniają się po cichej, rozmarzonej jeszcze jakby od snu polanie. A na polanie, wystawno sobie, jakby dla kontrastu, walka, walka na śmierć i życie. Jak zawsze o kobietę, o sarnę... Zaczajony w krzewach patrzeć i rozkoszują się. Słychać wciąż raz po raz tentent wściekle rozbieganych kopyt a zaraz potem głuche razy, zadawane ostrymi rogami. Żaden z obu jeleni dobrowolnie nie ustąpi swej łani. Ta zaś obok najspokojniej oczekuje na rezultat tej walki. Ach wspaniała, zaciekle, żywiołowa walka. Dobiega wreszcie końca. Jeden już tylko ostatkiem sił się opiera. Lecz nie ustąpi desperat. Wreszcie jedno pchnięcie zniemacka w samo serce...

— W samo serce... — powtórzył jak echo Stawicki.

— Tak... — przyświadczył w zapale roz-

tokowany myśliwy — i zwyciężony biedak pada, aby wydać ostatnie tchnienie... Powietrze przeszywa w tej chwili donośny ryk tryumfu i zwycięzca w rozkosznych lansadach zwraca się ku wywalczonej. Co za żywiołowo wspaniały obraz — co?...

Ale Stawicki już nie słyszał końca tego utalentowanego opowiadania. Oto patrzył z prawdziwym przerażeniem na swego Walerego, który, wysuwając się jak najdyskretniej z za portyery, kiwał ku niemu rozpaczliwie listem, trzymanym tajemniczo pod połą swego fraka...

Stawicki patrzył na ten list jak zhypnotyzowany. W liście tym była przecie wiadomość, czy Łomżyńska zdecydowała się ostatecznie najdalej za pół godziny jawić się tu, czy też nie. Trzeba było zatem za wszelką cenę list ten przeczytać. Lecz aby to uczynić, musiałby odejść od biurka, dotąd zasłanianego przezornie swoją osobą, co gorsza, odsłonić także ów nieszczęsny list, porzucony na dywanie. A przecie nie mógł listu pani Łomżyńskiej odebrać w obecności jej męża aby go w ogniu jego oczu, tak znanych ze swej bystrości i podejrzliwości, przeczytać...

Piekielny samotrzask...

Wprawdzie Walery, orientując się doskonale, nie kwapił się z doręczeniem trzymanego listu, niemniej sytuacja wytworzyła się wprost bez wyjścia. Rozumiał to Stawicki, ale, jak człowiek przypalony gorącym żelazem, postawił wszystko na jedną kartę i podszedł z całym spokojem ku lokajowi, gościowi rzucając krótkie, jak zawsze w takich razach:

— Pozwolisz, że przeczytam...

I stało się, co się stać musiało. Łomżyński, pozostawiony samemu sobie, potoczył bystreimi oczyma wicedyrektora banku wokół siebie i spotkał się na tej drodze pomimo-wolnej z fatalnym listem, odcinającym się tak znacząco na pąsowym korcie, którym cała posiadzka była wysłana. List, z którym się jego oczy spotkały, zelektryzował go tak niemile. Tak znany mu format papieru i wybitny charakter pisma jego żony sprawiły to, że na chwilę był jakby piorunem rażony. Uprzytomniwszy sobie raz jeszcze, co ujrzał, pobladł strasznie, jak ktoś, kogo nagle postawią przed zawrotną przepaścią. Był tak rozjątrzony, że, zapominając w zupełności o formach, rzucił się gwał-

townie przed siebie, skwapliwym gestem podniósł list i przytknął go łakomie do oczu.

Gdy zaś je podniósł z powrotem przed siebie, stał już przed nim Stawicki, dumny, spokojny, z półuśmiechem greckim na twarzy, gotów na wszystko. Za to na twarzy Łomżyńskiego wykwitły z obu stron wypieki tajemnej wściekłości. Obaj trzymali w swem ręku koperty listów jednakowego formatu, jednym charakterem pisma adresowane.

Pierwszy przemówił po długiej pauzie obustronnego wyczekiwania Łomżyński, głosem przerywanym od nurtującej go wściekłości. Jego ostry, wydłużony, jakby z kości słoniowej, żółty palec ruchem nagłym skierował się ku listowi, który Stawicki, spokojnie go przed chwilą odebrawszy od Walerego i równie spokojnie i z widoczną ulgą odczytawszy, trzymał jeszcze w ręku.

— Jeszcze jeden...

— Tak, jeszcze jeden — powtórzył jak echo Stawicki tonem zawziętym i przytłumionym.

— Cóż?!...

— Wszak widzisz... list...

— Mojej żony do ciebie?...

— Twojej żony do mnie...

— I tamte wszystkie?...

— Tak i tamte wszystkie...

I opierając się spokojnie o ścianę, tym samym zdeterminowanym tonem dokończył:

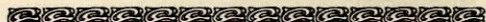
— Tak... Ano stało się... kości rzucone.

A Łomżyński dygotał z passyi, od której mieniła mu się twarz.

— To przecie oszaleć można...

— Istotnie niewesoła historia... Zdradzony mąż najniespodziewaniej dla siebie wpada na trop kochanka swojej żony. I teraz musi rozegrać się coś strasznego... Ale co?... Najpewniej walka jeleni, tak barwnie opowiedziana przed chwilą przez ciebie — co?... Historia nie wiele odbiegająca podobieństwem sytuacji...

Pod wpływem tych ironicznych a ostrych, jak uderzenie szpicruty, słów Łomżyński oprzytomniał. Przed chwilą jeszcze był gotów rzucić się na swego przeciwnika, jak rozwścieczony zwierz i zdławić go bez litości. Teraz znów zmógł się i opanował. Za to przed oczyma jego wyrosła jak obelisk cmentarny



żelazna konieczność zabicia Stawickiego, lub też sięgnięcia po śmierć z jego ręki. Myśl tę wyraził w formie krótkiej, zaciętej i nieubłaganej:

— Jeden z nas w każdym razie paść musi..

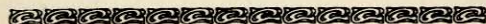
— W owej walce jeleni — śmiał się złowrogo Stawicki. — A niechby... Choć pozwolę sobie zaznaczyć, że czemś przecie dwunogi od czworonogów różnić się muszą...

— Nikczemnością — odrzucił mu na to jak policzkiem Łomżyński. I wnet dodał sucho, jakby streszczając to, co powinno teraz nastąpić:

— W każdym razie świadkowie nasi jutro się nad tem zastanowią...

To rzekłszy, spokojnie skierował się ku drzwiom, za których portyera czał się wierny i zaufany Walery, mimowolny zatem świadek wszystkiego, co zaszło. Za odchodzącym biegł w ślad zgryźliwy i urągający śmiech Stawickiego:

— Cha, cha... Zatem pojedynek... rykowsko jeleni... Czemużby nie... Lecz pozwól jeszcze chwilę. Zanim zacniemy porozumiewać się przez ambasadorów naszego honoru, czemuż

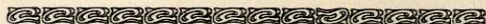


przedtem nie zajrzeć jeszcze osobiście wytworzonej tak sytuacji w oczy?...

Łomżyński wstrzymał się prawie już u wyjścia. W miarę zaś jak Stawicki mówił, przystawał, zwracał powoli korpus swej dystygowanej postaci z powrotem, wreszcie zaczął słuchać uważnie. Argumenty były przekonujące, mimo ironii, jaką były przyprawne. Stawicki mówił chłodno i drwiąc:

— Tak... zatem pojedynek... Ale to przecież strasznie stare i banalne naprawdę rozwiązanie. I ta cała tragikomiczna dekoracja, jak świadkowie, lekarz, komenda... Przytem ten ponętny skandal, gdyż już jutro całe miasto używać będzie na aferze... Twierdzą i powtarzam, że czas największy dla ludzi, mających odwagę być wyższymi nad banalność — a takimi przecież bądźmy — otóż powtarzam, że czas największy zastąpić czemś rozsądniejszym ten odwieczny, niemożliwy obrządek...

Łomżyński wstrzymał się pochmurny i zacięty. Przypatrywanie się gilotynie, z pomocą której chciałoby się pozbyć wroga, nie jest pozbawione niekiedy dużego uroku. Propozycja omówienia tego, coby raczej nastąpić



w tym wypadku powinno, skrycie pociągała go. Przytem Stawicki zaimponował mu i zaciekał go spokojem i sarkazmem niedbałym, z jakim mówił o sprawie tak bardzo poważnej, jak pojedynek.

— Cóż nam jednak ostatecznie pozostawiałyby innego do wyboru — kwestyonował bez wewnętrznego jednak przekonania.

— Kto wie... Gdybyś tylko zechciał jeszcze chwilę być cierpliwym i posłuchać uważnie tego, co powiem...

— Czekam właśnie...

— I to jest więcej niż rozumne. Bo wiesz, co robią ci, którym się strasznie czyjejs śmierci zachciewa?... Oto codziennie w miejsce porannego pacierza ćwiczą się przez dwie godziny w strzelaniu do celu. Ja to czynię właśnie cały czas od chwili, gdyś mi zabrał Collettę. To też zapewniam cię, że doszedłem w tym kierunku już do wprawy cyrkowego żonglerstwa...

Spostrzegłszy zaś bezwiedny w tem miejscu uśmiech na twarzy Łomżyńskiego, szybko dokończył:

— Nie chcę w ten sposób ubliżyć i cel-

ności twoich strzałów, w każdym razie jednak przyznaj, że okoliczność ta znacznie zmniejsza wyczekiwane przez cię szanse pojedynku.

Tu Stawicki znów spojrzął na zegar, a skojarzywszy szybko z tem spostrzeżeniem pewną kombinację, dokończył miarowo i delikatnie trochę podniesionym jakby uroczystym głosem:

— Dlatego... w twoim właśnie interesie, jeśli tylko to zrozumieć zechcesz, chciałem ci zaproponować coś, co byłoby dla nas obu bez porównania prostszem, rozumniejszem i skuteczniejszem rozwikłaniem fatalnego węzła...

— Domyślam się... pojedynek amerykański. Biała gałka albo czarna...

— Do pewnego stopnia zgadujesz, tylko że w tem, co ci naodwrot zaproponować zamierzam, ślepy i nierozumny hazard będzie najzupełniej wykluczony. Owszem, do pewnego stopnia będzie to i pojedynek amerykański, tylko bardzo doraźny, bo może odbyć się zaraz, natychmiast, bezwzględnie, co ważniejsza, że będzie on nadzwyczajnie rozumnie zmodernizowany...

— Dotąd jeszcze niczego nie domyślam...

— Cierpliwości!... Podkreślam tylko, że ślepy hazard będzie tu najzupełniej wykluczony...

— Cóż go w takim razie zastąpi?...

Stawicki wytrzymał dłuższą chwilę naprężoną uwagę Łomżyńskiego, poczem, przystępując doń i zbliżając się ku niemu prawie twarzą w twarz, rzekł krótko i dobitnie:

— Ona!...

— Któż?!... Jeszcze nie domyślam się...

— Twoja żona, Colletta...

Nastąpiła znów długa chwila milczenia. Na twarzy Łomżyńskiego wypieki nabrały refleksów porfirowych.

— Moja żona?!... A to w jaki sposób?...

Stawicki z największą flegmą zaczął porządkować pozostałe listy na biurku. W międzyczasie zaś wyjaśniał:

— Ewangelicznie prosty... Poddamy ją próbie miłości. Niech to będzie rodzaj sądu bożego. Dawniej w wiekach średnich robiono próby ognia i wody, my zdajmy się na próbę miłości...

Tak postawioną propozycją Łomżyński był tak zdziwiony i opanowany zarazem, że zdawał

się już nie myśleć zupełnie o odejściu, tylko skierował się ku otomanie, obsunął się na nią jakby wyczerpany i zapytał nie bez cienia rozpacznej ironii:

— Jakże ta próba ma wyglądać?...

— Coletta tu wejdzie...

— Gdzie?!...

— Tu do mnie!...

Łomżyński porwał się cały, jakby podrzucony mechanizmem, ukrytym wewnątrz otomany.

— Moja żona... tu do ciebie?!... Z moją o tem wiedzą?...

— Tak...

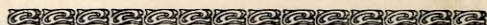
— Oszalałeś chyba...

— Nie, tylko gram w odkryte jaknajszczerzej karty...

— Skąd masz jednak pewność, że przyjdzie, żeby tu wogóle przyszła?...

— Mówię to i proponuję z całą pewnością, bo na podstawie listu, który tu przed chwilą byłem zmuszony czytać wobec ciebie...

— Piekło... Więc ona istotnie jest twoją kochanką?!... — dyszał, już całkiem wyzbywszy się dystynkcji Łomżyński, jakby gotów



znów rzucić się na Stawickiego pod wpływem instynktu pierwotnego barbarzyńcy.

Lecz ten pozostał nieporuszony. Czując zaś, że tylko bajecznie zimna krew da mu możliwość osiągnięcia celu, do którego zmierzał, nie tracił jej ani chwili.

— Uspokój swe krwią nabiegłe serce, — jak mówi Ohnet w którejś ze swych powieści — jeszcze nią nie jest, ale...

Tu otworzył szufladę biurka, a wydając szereg listów i porządkując je, dokończył:

— Ale wyznaję ci otwarcie i jaknajbardziej zdecydowanie, że ją kocham jak najdzikszy desperat, do szaleństwa. Łatwo ci w to uwierzyć, gdyż wiesz, że moją by dziś była i tylko moją, gdyby nie... Ostatecznie niema rzeczy, przed którąbym się cofnął, byleby ci tylko wydrzeć ją z powrotem, jak ty mi ją zabrałeś przed trzema laty...

— Do czego to wszystko ostatecznie zmierza?...

— Bo chcę, żebyś zrozumiał mój punkt wyjścia. Jest bardzo prosty. Otóż jeśli Coletta mnie jeszcze kocha, jak kochała, zanim została twoją żoną, a zrobię wszystko, żeby

zdołać nareszcie tę pewność wymarzoną, wówczas... Co ci po żonie, która całą swą istotą należy do innego...

— A jeśli cię nie kocha?...

— Wówczas odetchnij... Już dla mnie wtedy życie nie przedstawia żadnej wartości i z całym spokojem ofiaruję Asklepiosowi koguta...

— O tę pewność tylko chodzi — powtórzył jak echo Łomżyński, wyrażając rozpaczliwie mózg nad tem, do czego ostatecznie przeciwnik jego zmierza...

Ten zaś przekonywał go z piekielną logiką:

— Gra moja szalenie jest prosta. Oto Coletta tu wejdzie najdalej — tu spojrzal uważnie i długo na zegar — za jakie minut piętnaście albo dwadzieścia, a mówię to na podstawie dopiero co otrzymanego od niej listu. Niech jej tu wolno będzie pozostać za twoją zgodą przez całe pół godziny. Nie mniej ani więcej... W czasie tym wolno mi będzie do niej przemawiać wszystkimi głosami i argumentami, jakimi tylko może i umie przemawiać bezgraniczna miłość. Wzruszać ją będę głosem straconego cheruba, błagać ją, łkać,

porywać mirażami szczęścia, wśród tęcz ją wieść...

— Dość tej liryki — przerwał brutalnie Łomżyński — cóż ja...

— Ty tego wszystkiego będziesz dobrowolnym i cierpliwym świadkiem...

— Jakto?... Chyba mózg w tym czasie zagotuje mi się pod czaszką?...

— Jeszcze nie skończył... W tem, co powiem teraz, rzecz jest cała...

Tu Stawicki wyjął z biurka rewolwer i podał go zimno Łomżyńskiemu:

— Nabity, jak widzisz... Weź go, gdy się zgodzisz i znajdziesz odwagę przyjąć moje warunki, wejdź z nim za tę kotarę. Tylko pół godziny masz tam pozostać...

— Pół godziny... rewolwer... za kotarą ukryty?!... W jakim celu?...

— Aby być świadkiem dantejskiego widowiska, jeśli się zgodzisz je zainscenizować, zanim bohaterka dramatu tu nadejdzie... Przepyszne, na życie me i honor, widowisko... W twych oczach człowiek, uwieszony nad przepaścią, będzie błagał kochaną aż do szaleństwa istotę o życie... ta zaś nieświadomie w swem

rękę trzymać będzie gałązkę bluszczu, na której on uwieszony...

Tu zaśmiał się złowrogo, sam dziko olśniony własnym pomysłem...

— He, he... Przedstawienie nadsценki w piekielnym życia kabarecie...

— Otóż w tem właśnie moje warunki gry. Równe najzupełniej dla obu stron, są nieodwołalnie przytem i nieubłagane śmiertelne, jak w pojedynku amerykańskim. Wszak obaj jesteśmy nieskazitelny i bezlitosny dla siebie i drugich rycerzami honoru i potrafiemy umówionych warunków dotrzymać. Zatem... gdy... uwierzy mym zakłębom, gdy mnie wysłuchać zechce, gdy wyzna, że była moją, jest nią i będzie nią na zawsze, gdy potem usta nasze połączą się w pierwszym — tak, odcelnij głęboko i z ulgą — w pierwszym pocałunku, wówczas...

Łomżyński, który wił się pod wpływem tych słów, jak ktoś, komu oprawca wyłamuje ręce, wyczekiwał końca swej męki z wytężonemi żrenicami, z zapartym oddechem. Stawicki kończył bezlitośnie.

— ...Otóż wówczas przegrałeś... i... głuchy

wystrzał za kotarą będzie odpowiedzią, że... dotrzymałeś umowy...

Łomżyński począł rozpaczliwie trzeć czoło swą szafranową, wypieszczoną dłońią...

— Potworna w swem założeniu gra...

— Daje ci jednak możliwość pozbycia się w taki prosty sposób swego śmiertelnego wroga...

— Nie... to pomysł potępińczy, szalony... Gdzież tu równe szanse?...

— Zapewne... Wszystkie są po twojej stronie... Umiej tylko zapanować nad sobą i pomyśleć spokojnie... Chwila pozbycia się w taki prosty sposób zaciętego i szalonego wroga uśmiecha się do ciebie jak dziecko i zdaje się wprost ręce do ciebie wyciągać. Umiej je tylko uchwycić...

— Jednak ta kobieta, nie kochając cię, jak mi chcesz dać do zrozumienia, i umiejąc tak strzedz mego honoru, jak już tylekroć miałem sposobność przekonać się, niemniej jednak sama ma przyjść do ciebie dobrowolnie... Nie... tak czyni tylko kochanka lub ta, która chce nią pozostać...

Stawicki sięgnął spokojnie po list, który

odebrał przed półgodziną od Coletty i podał go równie spokojnie Łomżyńskiemu. Z jakąż żarłocznością niepohamowaną ten rzucił się na podany papier listowy tak znanego mu formatu...

List brzmiał tak: »Człowieku bez serca!... Wróciłeś po to, aby mi od pół roku życie zatruć i jedną mi je męką uczynić. Raz ci jeszcze przysięgam na to, o czym cię już tylekroć w listach swych zapewniałam, że mogę umrzeć z tęsknoty za tobą, jeśli taką we mnie wzbudzić kiedykolwiek zdołałeś, ale nie splamię honoru męża, gdy mu raz kiedyś zdecydowała się oddać moją rękę.

Dziś już chodzi mi o te listy nieszczęsne tylko, choć ci je litość chyba kazała pisać moją ręką.

Niemniej muszę, mimo wszystko, mieć je za wszelką cenę z powrotem. Człowieku okrutny! Żądasz, żebym je odebrała osobiście u ciebie, tylko u ciebie... I przed tem się nie cofnę! Twoje poczucie honoru a krew matek, która płynie w moich żyłach, będzie tam dla mnie, gdzie mnie zmuszasz brutalnie, bym przyszła, dostateczną dla mnie tarczą...

W chwili, gdy będziesz czytał te słowa, powóz mój będzie mnie wiozł po raz pierwszy a przysięgam, że i ostatni do ciebie — mnie znękaną i biedną... Colettę».

Łomżyńskiemu w miarę, jak się wczytywał w list, twarz rozjaśniała się jak widownia teatru, gdy ostatni akt dramatu dusznego i męczącego się kończy. Skończył czytać i ucałował list ze czcią i wdzięcznością. Twarz jego była pełna dziwnej ufności.

Stawicki jednak drażnił go i wyzywał dalej nieprzerwanie.

— Czy jeszcze wahać się możesz choć chwilę!... Jakżebyś pragnął być w tej chwili w twojem położeniu... Być mężem kobiety tak niezachwianej, tak niezłomnej...

Przerwał i wskazał gestem na seryę listów Coletty, wyjętych z biurka.

— Pół roku błagania, łez i zaklinań i oto trofea... Więc też zwątpiłem w to, co mi jeszcze najdroższego zostało i dlatego przestałem z tą chwilą przywiązywać choć drobną wagę do życia. Straszny jednak przeciwnik, który nie ceni swego życia. To też należy go się pozbyć, zwłaszcza, że sam tego pra-

gnie tak bardzo... Czemuż nie pozwolić mu przegrać je w tak nadzwyczajnej choć ostatniej stawce...

Tu zaczął się sam roztkliwiać nad swym rozpaczliwie smutnym losem.

— Bo czy ja mogę mieć choć cień szansy wygrania?... Oto już widzę, co się stanie. Szalony zakład się rozgrywa. Krytyczne pół godziny minęło. I oto ta, która, odkąd ją poznałem, była przekleństwem mego życia, staje się też przyczyną mojej śmierci. Patrzyła przez cały czas śmiertelnej próby na moje rozpaczliwe szamotanie się jak głąz bezduszny...

I oto widzę cię!... Ukazujesz mi się z za kotary jak widmo nieubłaganej zemsty. Niemym ruchem podajesz mi rewolwer, zabierasz swoją już niezaprzeczenie Colettę i... wychodzicie...

A za wami biegnie echo wystrzału, którym sobie roztrzaskałem skroń. I nie żal mi siebie ani trochę. To chyba lepsze od męczarni, które przechodzę od chwili, gdy ją utraciłem. I cóż ty na to?... Taka perspektywa chyba warta piekielnego ryzyka...

A widząc, że Łomżyński pod wpływem jego niemilosierne upartej wymowy jest pra-

wie pozyskany dla tego szatańskiego planu, dolewał oliwy do ognia coraz energiczniej, coraz to bardziej nieodparcie... I mówił dalej, już jakby do siebie, coraz to niecierpliwiej spoglądając na zegar...

— Bo czy to, co ma się między nami rozegrać, nie rozumniejsze od całej tej banalnej pukaniny do siebie wobec świadków, lekarza i całej tej nieznośnej, nieuniknionej dekoracji. A tak sądy boże... Niech rozstrzyga ta, która jest kością niezgody... Tylko ona... tak...

Łomżyński wciąż siedział bez ruchu, jakby zasuggestyjonowany argumentami znieawidzonego przeciwnika, trzymając nabity rewolwer, po który przed chwilą sięgnął bezwiednie ręką. Stawicki stał przed nim spokojny, z twarzą surową, zaciętą, jakby skrzywioną od sarkazmu i bólu.

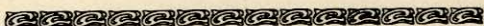
Łomżyńskiemu bezwiednie przewinał się w tej chwili w myśli lasek w Młocinach, gdzie już kilkakrotnie wyjeżdżał chłodnym rankiem w rozklekotanej karecie, zdenerwowany, zły i niewyspany... Pojutrze najdalej znów ścieliła mu się ta sama wędrówka, tym razem o żonę, którą istotnie kochał aż do zapamiętania.

I oto już jutro weźmie tę całą aferę na języki całe miasto... Nie!... Wszystko, tylko nie to!...

Tak... Pomysł tego piekielnego szaleńca mimo swej potworności jest przecie niezłym przecięciem tego wężła straszego, w jaki los przeklęty troje ich razem splątał. Przytem ta cała śmiertelna gra przedstawia dla niego istotnie wszystkie szanse pomyślne. Zresztą i Coletty może być pewien. To naprawdę granitowa natura. Pół godziny... To chyba nie wiek... Przy jej zasadach, stałości charakteru. Spekulacyjny zmysł wicedyrektora banku jednej z najpoważniejszych instytucji kredytowych w mieście zaczął go nie na żarty kusić... Czemu nie miałyby się utrzymać góra w tym piekielnym zakładzie.

Spoglądał długo na zegar, obramowany symbolicznie skrzydłami nietoperza i patrzący ku niemu parą krwawych ślepiów... Porównywał godzinę ze swoją na małym kieszonkowym zegarku, ale zdecydować się nie umiał, nie śmiał...

Stawicki wciąż stał nad nim zimny, drwiący



ze skrzywioną nieco od szalonego bólu i niepewności twarzy...

Tę przeraźliwie śmiertelną ciszę przerwał donośny głos dzwonka z przedpokoju przywany, długi, niespokojny...

Łomżyński na jedno okamgnienie porwał się, jakby chcąc wybiedz naprzeciw. Ale wnet pohamował się pod wpływem wzroku Stawickiego. Wyprostował się wyniosłe, zmierzzył nienawistnie wroga i z całą wyniosłością giganta, który uniósł na swych barkach olbrzymią skałę, by nią zmiążdżyć przeciwnika, gdy tylko nadejdzie pora, rzekł krótko:

— Przyjmuję!...

I zniknął za kotarą, którą Stawicki szybko za nim zasunął!...

Otulający swemi skrzydłami tarczę zegara, której wskazówki znaczyły właśnie w pół do ósmej, symboliczny nietoperz jarzył się przekrwionemi od ironii ślepiami i tylko przez nadzwyczajne przejście się tem, co miało bezpośrednio nastąpić, nie zachichotał śmiechem szatańskim...

.

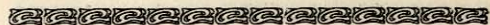
Do gabinetu wbiegła, a raczej wpłynęła jak wysniona fala rozkoszna, zdyszana lekko, i w samą miarę zalękniona, ona... Coletta... Z ramion jej szerokich, miękko rzeźbionych, zsunęła się szuba szenszelowa. I stanęła tak zakłopotana z wdziękiem, jakby zdziwiona swem tu znalezieniem się, pyszne zjawisko kobiety riwierowej, o bogato modelowanych kształtach, rostej, rasowej istotnej łani, o którą warto bóść się rogami zazdrości aż do wydania ostatniego tchu...

Z pod ronda szerokiego, powozowego kapelusza wymknęły się bujne jasne włosy Elzy Lohengrinowskiej i w swem bogactwie здаwały się prosić, by je uwolniono z więzów i pozwolono spłynąć swobodną falą po tych wspaniałych ramionach. W jej dużych oczach koloru akwamaryny, przykrytych długimi dżetami rżes, obok cudnego zdziwienia była też świadomość nieodpartego czaru, który tu wniosła ze sobą.

Całe swe powitanie zamknęła w krótkim, zwyciężkiem:

— I cóż?!...

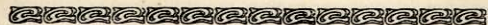
Stawicki tak był olśniony obecnością tego



tak drogo okupionego zjawiska, że zapomniał nawet o tragiczności, która na całą tę scenę, jaka miała się za chwilę rozegrać, rzucała swój kir śmiertelny. Za całą odpowiedź przypadł tylko z pokorą niewolnika do jej sukni i począł jej stopy, kolana i wydatnie pod opiętym angielskim kostyumem rysujące się uda okrywać gradem pocałunków. Odsuwała go lekko, ale stanowczo, wodząc przytem oczyma po całym urządzeniu gabinetu i przypatrując mu się długo, badawczo i ciekawie... Najdłużej spoczęła oczyma na rozłożystej swemi kształtami indyjskiej otomanie, która tak wabiła do niekończącego się wytchnienia. Więc też podeszła ku niej a usiadłszy z leniwym wdziękiem, niepomna na krew szlachetnych matek, która płynęła w jej żyłach, i jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła bezwiednymi ruchy wyjmować szpilki od kapelusza, który najwidoczniej ciążył jej niesłychanie.

Równocześnie zaś mówiła tonem kapryszącej skargi:

— To czekanie tam u drzwi trwało tak



niemożliwie długo... Gdybym była przypuszciała...

Dostroił się nawpół do jej płacziwego, rozpieszzonego tonu:

— Darować mnie nędznemu, nad którym już sam los tak się okrutnie znęca...

Skrzywiła się niechętnie:

— Ach... cóż za ton jęczący... Przecie to była tylko wina służącego. Czy zawsze i wszystkim drzwi tak powoli i ze strachem komycznym otwiera?...

Zdawał się nie rozumieć alluzji, która była ukryta w jej złośliwym powiedzeniu, i milczał dalej rozpacznie, niezadowolony z kolorytu, jaki rozmowa zaczęła przybierać. Naraz zelektryzowało go jej energiczne i prawie gniewne powiedzenie:

— Moje listy?!...

Podszedł do biurka ruchem automatu i wskazał na całą ich paczkę, już ułożonych, i gotowych do odebrania. W tej chwili pomyślał, że jeśli rozmowa półgodzinna upłynie na podobnych pytaniach i odpowiedziach, będzie to zarazem ostatnia rozmowa, jaką prowadzi

na ziemi. Więc też odpowiedział głosem nie-
 zmiernie przybitym i niecierpliwym:

— Oto są! Czekają przygotowane, jak przy-
 kazano!...

— Czemu mnie pan zmuszał, żebym aż tu
 po nie przyszła?...

Zwrócił na nią oczy pełne bezdennego,
 rozbijającego smutku:

— Ja zmuszałem?... Błagałem tylko o to
 panią, jak o łaskę największą. Tak błaga ko-
 nający przed zamknięciem oczu na wieki
 o uchylenie zasłony u okna, by mógł jak
 można najbliżej tak twarzą w twarz popatrzeć
 jeszcze raz ostatni w cudne, wspaniałe słońce. .
 On je tak szalenie kochał za życia...

Skrzywiła się znów z kapryśnym przeko-
 marzaniem:

— Jest w liście pańskim obietnica, że nie
 będzie między nami mowy o miłości, gdy tu
 przyjdę...

Spowaźniał. Usiadł na taburecie zdala od
 niej przy biurku i, oparłszy się o nie łok-
 ciami, wygłosił tonem ostrym i tak dziwnie
 przejmującym, że ją aż zadziwił i zaniepo-
 koił:

— Com przyrzekł, dotrzymam, jak zawsze,
 wszędzie, wszystkim i wszystkiemu!...

Poczem dodał głosem drżącym jakby od
 wielkiego wzruszenia:

— Cóż, kiedy między ustami a brzegiem
 puharu zasłyły rzeczy, które zmieniły ogrom-
 nie bieg rozgrywających się wypadków...

Spojrzała nań podejrzliwie i przeciągle.

— Jaki? Czyżby pan już zaniechał myśli
 wyjazdu... W liście pan pisze, że postanowił
 pan w zupełności kraj opuścić... Więc to był
 podstęp?...

— Bynajmniej... Wyjeżdżam naprawdę, da-
 leko, bardzo daleko... Nawet dalej niż myśla-
 łem jeszcze temu pół godziny...

— Zagadka!?... Gdzież więc?...

— Do czwartego wymiaru, to znaczy, skąd
 się już nie powraca... — dokończył niewy-
 słowienie smutno, jakby prosząc dla siebie
 o litość i zmiłowanie.

Odwróciła swe duże, nadąsane oczy z nie-
 chęcią, by nań nie patrzeć.

— Znów ten ponury smutek, który mnie
 dławić zaczyna... Czemu to u pana tak prze-

rażliwie smutno. Przecie w tak przytłaczającej atmosferze żyć poprostu nie można...

— Bo też nie dla mnie już życie...

— Czemu, czemu?... Same zagadki męczące... Naprawdę, że idąc tu, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie moją tu bytność...

— A tymczasem zobaczyła pani człowieka, który, zepchnięty przez nią w ponurą przepaść, już może stamtąd do żywych nie powróci...

Poskoczyła ku niemu, widocznie bardzo przerażona:

— Panie Witoldzie!... Pan sobie chce naprawdę coś złego zrobić...

Uśmiechnął się beznadziejnie.

— Czemu znów złego lub strasznego?... Właśnie coś, w czym dla mnie wybawienie i ulga, niczem nieprzerwana...

— Pan pewnie myśli o samobójstwie z powodu mnie, czy tak?... Powiedzieć — tak?... Żądam natychmiast całej prawdy!...

Drżała na całym ciele i była tak bezradna i nieszczęśliwa, jak mała rozkapryszona dziewczynka, której zepsuto naraz całą zabawę. Stawicki instynktem ratującego się człowieka

bezwiednie odczuł, że smutny i przejmujący ów ton, jakiego użył, zbliża go do celu doskonale. Więc też szedł wciąż w tym kierunku dalej. Podprowadziwszy ją z powrotem ku otomanie, usiadł obok i mówił, patrząc beznadziejnie gdzieś przed siebie:

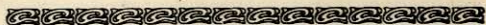
— Nie mówmy o tem zupełnie... Po co trzymać wciąż wzrok utkwiony w ranie, wiecznie krwawiącej, strasznej, nie do uleczenia już... Przegrałem, pokochawszy cię, wielką stawkę życia i znajduję tyle odwagi, by ją zapłacić...

Lecz ona mimowoli zakryła mu usta bluzniercze swą kształtną, pachnącą ręką...

— Nie, nie!... Niech pan tak nie mówi!... Życie jest samo w sobie ślicznym celem, jak mi pan to sam jeszcze kiedyś w domu mojej ciotki powiedział. Niech pan wyjedzie daleko od nas, gdzieś nad morze, gdzie dużo wytwornych, pięknych kobiet... Pan tam zapomni, oprzytomnieje, odnajdzie siebie znów mocnego, silnego, nie dającego się nikomu i niczemu... Co?!... Niech pan tak zrobi... dobrze?...

Potrząsał głową bez cienia wiary...

— Po co?... Były to próżny i tylko dal-

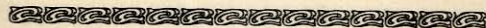


szy trud i męka. Ja jużbym nie zdołał wyżyć teraz zdala od ciebie... od pani.. A że znów dalej żyć tak blisko w podobnych warunkach, jak tych parę miesięcy, byłoby to ponad moje siły, więc dla mnie już niema ratunku...

— Nie wolno tak zwątpić o wszystkim, tak zaraz rozpaczać. Trzeba przecie szukać sposobu, modlić się... pan przecie jest chrześcijaninem...

Mówiła cicho, przeciągle, słodko, jakby lubując się rolą siostry pocieszycielki... Nad jej grubo rzeźbioną, zdecydowanie zmysłową twarzą, zdawał się chwiać kornet zakonniczy. Stawicki, ogarniając ją coraz to bardziej rozpłomienionymi oczyma, mówił, potrząsając z niedowierzaniem głową:

— Tak... jestem nim... To mi też właśnie daje tę smutną pociechę, że za tyle męki, którą tu zniosłem, pójdę prosto po śmierci do nieba. Tam wysoko wyjdą naprzeciw mnie o cudnych licach anieli, a ja im tylko jedno będę miał do powiedzenia: nie chcę was, o nieśmiertelnie piękni!... Piękniejszego od was anioła



poznałem tam na ziemi a jednak był dla mnie tak strasznie okrutnym...

— Panie... Witoldzie... nie trzeba się znów nademną tak okropnie znęcać...

Ukryła twarz w dłoniach prawie blizka płaczu. Ale nie spieszył się ją pocieszać. Przesłonił tylko światła elektryczne amplą, zdobną w kolorowe witraże, i mówił dalej głosem zbolałym, beznadziejnym...

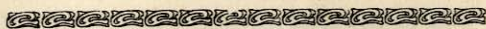
— Nie, przepiękna moja... Ja w ten sposób tylko własne rozdrapuję rany. I jestem równocześnie tak szczęśliwy, jak nimi byli w podobnych chwilach średniowieczni biczownicy...

Zamilkł...

Poprzez kolorowe szybki witraży światło sączyło się tajemniczo, nastrojowo... W tej chwili właśnie odsłoniła swe przymglone smutkiem oczy i jakiś nieznaną dreszcz lęku ją przeszedł. Miała wrażenie zupełnie takie, jak gdyby przechodziła o północy koło opuszczonego cmentarza...

— Czemu tu naraz zrobiło się tak dziwnie i strasznie jakos?... To tykanie miarowe ma w sobie jednak coś przerażającego...

Stawicki podniecał ten jej lęk z całym



rozmyśłem człowieka, który czuje, że jest na jaknajlepszej drodze... Widząc, że ma oczy utkwione, jak zhypnotyzowana, w czerwone ślepią nietoperza, otulającego skrzydłami tarczę zegara, wygrywał dalej na tym minorowym tonie:

— Tak tłuką się w grobowcach nawpółotwartych nietoperze... Łomotem swych skrzydeł zdają się odmierzać chwile, ulatające bezlitośnie, nim ciemność zapadnie zupełna...

Mówił to głosem szcękającym, jakby od cementarnego chłodu, gdyż groza chwili rozgrywającej się mąciła mu spokój, jaki starał się za wszelką cenę w swej duszy utrzymać. Bezwiednie zbliżyli się ku sobie, oboje ogarnięci lękiem, który brał ich coraz to bardziej w swoje wyłączne władztwo.

— Czemu ta kotara przed nami jest tak ohydnie szkarłatna. Tyle krwi z niej zdaje się przeglądać...

W tej chwili zdawało się, że fałdy zasłony poruszyły się tajemniczo, jakby pchnięte niewidzialną siłą. Przysunęła się doń bezwiednie z swem węzowem i gibkiem ciałem, opiętem szczerlnie w kort kostyumu. Zdawała się szu-



kać u niego ratunku. Słowa jej stawały się coraz to cichsze, coraz to bardziej drżące...

— Ja nie chcę, żeby ta szkarłatna zasłona tam wisiała... Tyle krwi z niej przegląda. Pocom ja tu przyszła?... Mam wrażenie, jakby tam jakiś krwawy upiór się zaczął i wytrzeszczał ku nam swe kościane oczodoły... Rozsunąć tę zasłonę, dobrze?... Zaraz rozsunąć... chcę...

Naprzykrzała się coraz kapryśniej.

Uspakajał ją łagodnie, ale stanowczo:

— Nie można, złota moja... tam jest wróg nasz!...

— Jaki wróg?!...

— No... okno... Przecie nie trzeba, żeby cię tu widziano...

Mówił jej znowu »ty«, jak kiedyś... niegdyś... Tuliła się ku niemu coraz to mocniej, jak strwożona burzą mewa do okrętu. Wyczuwał tak blisko i tak szalenie wymodloną długą tęsknotą obecność jej prężącego się ciała, które buchało ku niemu falami rozkosznego żaru, odbierając prawie przytomność i grozę tego, co miało decydować o jego życiu. Coraz to bardziej rozmarzony, okry-

wał pocałunkami jej miękką, gorącą dłoń i uspokajał:

— Nie słuchaj, ptaszyno moja drżąca, straszego zegara... nie patrz na widmo-zastłonę... Posłuchaj lepiej, jak tam za oknem gdzieś drzewa zawodzą smutnie...

— Tak szumią...

— Zupełnie jak wtedy, pamiętasz?... Siedzimy oboje przy otwartym oknie. Późno już nad wieczorem. Ciotka twoja gra na fortepianie w drugim pokoju tę balladę Chopina tak dziwnie trwożąca. Od ogrodu napływa chłód wieczorny, ten taki ostry, przejmujący... A ja ci opowiadam o swoim wspaniałym projekcie mostu w Kanadzie, za który wezmę olbrzymio wielką nagrodę. I o tej naszej willi nad zatoką kalifornijską mówię, którą dla ciebie tam wystawić miałem, czy pamiętasz?...

Ciche, lecz całkiem mu oddane »take« było ledwie dosłyszalną odpowiedzią. Upajał się więc dalej haszyszem wspomnień:

— Powtarzasz mi wciąż: »mnie jest tak zimno«!... Więc pocieszam: »ja cię otulę tam w takie wspaniałe, omdlewającemi woniami przesycone, białe futro«, a ty kaprysisz: »gdzie

to futro?!... chcę zaraz futra... mnie jest tak zimno«!... Naraz ciotka przerwała balladę, zamknęła okno... i... potem już cię więcej nigdy nie tuliłem, zbawienie ty moje... Wyjechałem, a ty nie miałaś cierpliwości na mnie czekać, jak przyrzekłaś...

— Znów te wyrzuty!... Biedna, sama jedna, bezradna, straciwszy ciotkę... Ty wówczas właśnie nawet pisać przestałaś...

— Leżałem wtedy śmiertelnie chory, przysięgam ci raz jeszcze...

— Ale ja tego wówczas nie mogłam wiedzieć... A on z tym swoim majątkiem, stosunkami i znaczeniem taki był natarczywie natrętny, tak mnie oplątał... Ach, nie wracajmy nigdy do tego smutnego tematu...

Zsunął się naraz do jej stóp i objął kornie jej kolana.

— Odpowiedz jednak jeszcze tylko na to jedno pytanie. Czy naprawdę już dla mnie wszystko w twoim sercu stracone?... Odpowiedz!... Błagam cię o to całą męką tego wszystkiego, co od dnia twego ślubu z nim przeszedłem... Błagam... powiedz...

Odwracała główkę z niechęcią...

— Dlaczego dręczysz... Czy nie wystarcza za odpowiedź, że... przyszłam...

— Po listy...

Pogłaskała go delikatnie ręką po bujnych, czarnych włosach i wyszeptała z nieśmiałą słodyczą:

— Także i... po listy!...

Ogromny tuman rozkoszy przysłonił Stawickiemu oczy. W szalonej ekstazie radości całował jakby bez opamiętania znów jej stopy, kolana, suknię, ręce, ramiona nawet... Czynił to szybko, gwałtownie, jakby nieprzytomnie ze szczęścia...

— Mam wrażenie — mówił bezładnie — jakby mi żywcem zamurowanemu promień słońca wystrzelił naraz ze szczeliny przed zrozpaczonemi oczyma...

Broniła się przed jego natarczywością słabo i tem właśnie więcej jeszcze przyciągając go ku sobie bliżej... bliżej...

— Nie całuj — mówiła — nie trzeba tak... on jest strasznie mściwy... Ty go nie znasz... Patrz tam... coś z nad zegara tak krwawo nam się przygląda...

— Cudu mój boski!... On już dla nas nie

straszny. Miłość nasza, która tyle przetrwała, silna dziś jak burza... Cóż znaczą śmieszne płoty?... Zmiecie je wraz z sobą...

Uczucie niepohamowanej rozkoszy i namiętności, ogarniające ją coraz to bardziej, wzięło się u niej z lękiem za bary. I toczyły się w jej strwożonym ale zgorączkowanym sercu zapasy, jakby dwóch wielkich w pustym polu nad wieczorem wichur, idących przeciw sobie naraz z dwóch stron...

— Cicho — szeptała, nie mogąc oderwać wzroku od zegara, którego wskazówki znały właśnie dwadzieścia już minut po ósmej... — Te krwawe fale zdają się jakby poruszać. Idą ku nam... zatopić nas chcą żywcem... Serce mi bić przestaje z przerażenia... Jakam ja biedna...

Była bliska płaczu...

Ale Stawicki brał ją już w swój uścisk mocny, nieodparty, ręką opasywał jej szyję i, chyląc swe usta ku jej twarzy, mówił bardzo zgorączkowany, szybko i bezładnie:

— Utul się ptaku mój spłakany... Te fale uwięzione są strasznie zakłębieniem. My jeszcze wciąż nad nimi panujemy. Posłuchaj lepiej

słów moich. Mówią, że, trafiony bezlitosną strzałą, ptak marzy jeszcze w krwawiącym już mózgu najwspanialsze wizye. Zdaje mu się, że z rozwiniętymi oto skrzydłami mknie gdzieś w przestwór obłoków, wyżej, coraz wyżej... szybciej... aż wreszcie gdzieś niknie dla swoich nawet własnych oczu...

— To myśmy właśnie Coletto owe, śmiertelnie ranione przez los bezlitosny, ptaki. Życie nam położyło swój nóż bezlitosny na gardło. Czujesz, jak nóż ten wbija nam się coraz głębiej w piersi... A my mkniemy razem przytuleni daleko... hen... w przestwór gdzieś aż nad zatokę kalifornijską...

— Gdzie nasza willa nad brzegiem, cała futrami wewnątrz wystana... takimi pachnącemi, białemi...

— Tak... raju wymodlony... Tyś już mój. Jam jest zuchwały, zaborczy wiking. Zechciej, pozwól, a porwę cię jak swoją zdobycz do owej tam willi, z ciosów wzniesionej na skale, naszej przepięknej willi... Tam z jednej komnaty, całej futrem wyścielonej, taras prowadzi nad wyblękitnione morze... Tam... daj się zabrać ptaku mój rajski... już jutro... albo

dziś... jeszcze dziś... na życie na kwiatach, pełne szałów, upojeń, nie kończących się... słodkich...

Obezwładniona rozkoszną niemocą, staniała mu się w ramionach. Usta jej bezwiednie powtarzały: »upojeń... szałów... słodkich«...

Wzięła jej twarz w obie dłonie i nad jej ustami swemi ustami zawisnęła:

— Bo przecie ty moją tylko jesteś, tylko moją... byłaś nią zawsze i będziesz... moją... tak??...

— Tylko twoją — wyszeptęła ostatnim wysiłkiem zgorączkowanego tchu i wpiła się w jego usta z jakąś rozpaczliwą zaciętością...

W tej zaś samej chwili zegar metalicznymi dźwięki zaczął wydzwaniać decydujące w pół do dziewiątej. Równocześnie z pierwszym uderzeniem zasłona gwałtownie rozchyliła się i przez jedno okamgnienie odsłoniła postać-widmo Łomżyńskiego. Ręka jego, trzymająca rewolwer, piorunowym, bezwiednym gięciem skierowała się w stronę tych dwojga ludzi, splecionych w nadziemskim uścisku.

Ale jeszcze szybciej opadła...

Z ostatniem uderzeniem zegara zasłona

ściagnęła się gwałtownie z powrotem i równocześnie prawie jak na komendę dał się słyszeć poza nią głuchy wystrzał...

I w tejże samej chwili postaci kochanków odskoczyły od siebie, jakby odrzucone byłyskawiczną, odruchową siłą.

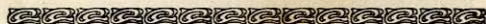
Pomiędzy nich dwoje obsunęła się bezwiednie postać Łomżyńskiego, wstrząsana przedśmiertnymi drgawkami, i rozdzieliła ich na zawsze.

KARA BOŻA

— W kuchni mi tam za wiele nie wysiaduj — przestrzegał Felka ksiądz dziekan, kończąc swe zwyczajne ojcowskie upomnienie — bo z tego tylko kara boża może wyniknąć. Ty masz swoje pokoje do pilnowania a kuchnia należy do Wątorkowej... Zresztą, już ja sam dam na to oko...

Mimo jednak najlepsze chęci księdzu dziekanowi trudno było z powodu nawału zajęć ściśle w czyn wprowadzić swoje słowa. Dziś naprzykład zaraz, ponieważ to była wigilia do Matki Boskiej Zielnej, musiał pójść na całe popołudnie spowiadać do kościoła.

W tym samym czasie rumianolica Wątorkowa, od dwóch tygodni nowa gospodyni na probostwie, zabrała się energicznie do robienia porządków w całym domu. Felek, wolny od wszelkiego zajęcia w kościele aż do dzwonięcia na nieszpór, pomagał jej z zapałem. W czasie pracy były to jedyne chwile, w któ-



rych była dlań przystępniejsza i łaskawsza. Zresztą trzymała go od pierwszej chwili zdala od siebie, kpiąc stale, ile się zmieściło...

— Dużo ci już wiosen, smyku jeden? — spytała go zaraz na przywitanie, gdy tylko objęła rządy w księżej kuchni...

— Dziewiętnaście lat skończyłem, jak ob-
szył — pochwalił się dumnie, przeginając na bok głowę jak młody cap, stojący na ścier-
nisku...

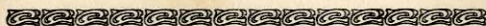
— Tobys memu nieboszczykowi, gdyby mu się nie było zmarło, mógł jeszcze po tabakę chodzić... Choć co prawda, to ci wikt księży służy. Któż cię tak doglądał przedemną?...

— Kto miał doglądać?... Przecie nie Ka-
tarzyna, co była przed panią Wątorkową...

— Toś jej nie lubiał?...

— Com miał lubić. Stara była z niej ter-
cyara, sucha jak rzepa w piasku a wciąż tylko tym ogniem piekielnym wszystkim wyklinała, że aż w dołku gniotło...

Tak mówiąc, równocześnie w nową gospo-
dinię księdza dziekana patrzył jak w obraz, lub tęczę. Oczami zdawał się ją zapewniać,



że gdyby mu kazała w studnię skoczyć, byłby skoczył.

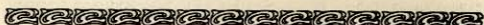
Tak było i w tej chwili.

— Cóżes tak stanął, jak fizyk na weselu... Kto za ciebie dywan wytrzepie, ha?!

Ani się opatrzyła, gdy tak mocno okładać zaczął trzepaczką stary, zielony dywan z ba-
wialni księdza dziekana, iż się przelękała, aby go nie porozbijał w kawałki...

Co prawda, chwycił ją za serce tą swoją sprawnością do pracy. Śmigły, sprężysty, trochę może za wysoki jak na swój wiek, Felek mógł nie na żarty podobać się nieutulonej wdowie po zapitym na śmierć kowalu, który zmarnował wszystko co miał i zmusił w ten sposób swą żonę do pójścia na służbę po dworach. Ale okrągłych, apetycznych kształtów, zawsze schludnie ubrana i skromnie przed się patrząca niewiasta zносиła swój los niezgorzej.

Tylko nigdzie długo miejsca zagrać nie mogła. Nie ze swej winy zresztą. Zawsze w niej ktoś tam się zakochał, zawsze z tego powodu wynikało jakieś zająście, jakaś nieprzyjemność. Ostatecznie zaś Wątorkowa była zmuszona



wędrować dalej ze swą przewspaniałą pościelą, z której była dumna, i pięcioma sznurami korali na wydatnych piersiach, których jej powszechnie zazdroszczono.

Szybkość, z jaką uprzątnęli z Felkiem bawialny już i sypialny, uczyniła ją rozmowną.

— To rozumiem — pochwaliła Felka — jak robić, to niech aż wióry lecą, jak jeść, to żeby aż chrupało, jak znowu kochać, to...

Urwała, spojrzawszy, że Felek to smarkacz prawie i że z nim o kochaniu mówić jeszcze jakoś może i nie wypada.

Lecz Felek poderwał temat skwapliwie, jakby urażony...

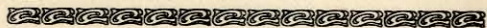
— A jak kochać to co?...

— Ej nic... Nie dla psa kiełbasa... Co tam Felkowi jeszcze o tem...

— Czemużby nie?! — drażnił ją zuchowato...

— Bo nie!... — ucięła krótko — a z Katarzyną to Felek rozgadywał się o takich rzeczach?...

— No... zaraz i Katarzyną... Gdzie tam starej krowie było gadać o słonku, kiedy ona zaraz z piekłem wyjeżdżała...



— A Felek się piekła nie boi, co?...

— Nie bardzo...

Spojrzała zgorzozona.

— I czemu to?...

— Bo tam będą wszystkie najładniejsze kobiety... — powtórzył zasłyszany kiedyś z ust lokaja komplement, z czasów, gdy temu lat trzy sługiwał w dworskim kredensie. — Pani Wątorkowa też będzie...

Uśmiech okolił jej pełne, pąsowe usta. Przypomniał jej się dorastający panicz z Krasnego Dołu, który też tyle jej przyjemnych rzeczy zawsze naopowiadał. Tylko że starszej pani te rozmowy jej dłuższe z paniczem mocno się nie podobały i znowu skutkiem tego Wątorkowa straciła niezłą tam posadę klucznicy. Co prawda, załowała więcej panicza potem jak służby. Obiecał wydać ją za mąż za młodego ekonoma. Kto wie... Możeby i co było z tego. Tylko że ta starsza pani wdała się w to wszystko i wszystko na nic...

Niech tam...

Przysiadła na chwilę na kanapie w stołowym, gdzie prawie już ukończyli sprzątanie.

Felek, który dobywał wszystkich sił przy przesuwaniu szaf i komody, aby pokazać swe siły i sprawność, stał tuż przy niej trochę zdyszany.

— Ależ to Felek czerwony, jak marchew na przednowku — pokpiwała zwyczajem swoim.

— Bom nie próżnował, jak pani Wątorkowa widziała. Ale kawusia będzie za to jeszcze przed niesporami, prawda?... — przytrzymał się jak układny kot, wpatrując się w jej bielutkie, tłuste, odsłonięte przy robocie, ile można było najwyżej, ręce. Dwa odpięte same przez się guziki od jej białego w niebieskie paski kaftanika odsłaniały przy każdym poruszeniu się Wątorkowej kawałek szkaplerza, wtulonego między wgłębieniem dwojga jej różowych i drażniąco wydatnych piersi. Łakomemi oczyma polował na te rozchylenia kaftanika, aż spostrzegła manewry jego roziskrzonych oczu i guziki czempredzej zapięła. Widząc zaś, że z tego powodu najwidoczniej posmutniał, zaśmiała się z pustotą:

— Felek wygląda teraz jak kot, któremu mleko z przed nosa zabrano...

— A zabrano — skarżył się, kontent, że go na takiej właśnie psocie przyłapała.

Wstała, szybko zmierzając ku wyjściu.

— No... Felek niech sobie tu zostanie, a ja lecę do kuchni, bo mnie tam czeka jeszcze podłoga...

I zanim się opatrzył, zostawiła go samego. Machinalnie wziął się do przecierania okien. Ale mu nie szła jakoś robota. Sierpniowe słońce slicznego popołudnia dopiekało jak w lipcu. Gorąco rozmarzało go dziś jakoś i odbierało mu zwykłą młodzieńczą żywość. W głębi pod stajnią murowaną, nową, drzymał trochę głuchy Jan i opędzał się jak mógł od much. Po podwórzu przechadzał się kogut z purpurowym grzebieniem i czuwał nad kurami, wyczekującami jego zmiłowania. Sen nie było jakoś naokół i dziwnie rozmarzało...

Nie dokończył wycierania okien, tak go ciągnęło do Wątorkowej. Przyszło mu zresztą na myśl, że pewnie potrzebować będzie do mycia podłogi wody. Skoczył więc jak oparzony do studni.

Za chwilę stał już z pełnem wiadrem u drzwi

kuchni. Spojrzała nań przyjaźnie, ale zaraz z zakłopotaniem odwróciła się.

— Dobry chłopak z Felka, że przyniósł mi wody, ale sam niech sobie zaraz stąd idzie...

— Czemu?... — wyprasał się płaczliwie, ani myśląc zresztą odchodzić...

— Bo Felek tu nie może zostać...

— Nie mogę?... A i czemu?... Czy to urzeknę panią Wątorkową czy co?...

— Urzec to nie, ale ja sobie przecie nie mogę pomoczyć spódnicy przez Felka...

— A cóż, czy ja bronię podnieść, czy co?...

— Jak to, tak przy Felku?... A cóżby ksiądz dziekan powiedział, jakby to zobaczył. Jeszczeby mi nawyzywał, że Felusia gorszę. Już i tak coś tam mruczał, że Felka bałamucę. Potrzeba mi to słuchać przez takie głupstwa...

Ale Felek, nie zważając co mówiła, wsunął się przekornie do kuchni, postawił wiaderko z wodą i, oparłszy się najspokojniej o futrynę drzwi, gotował się do obszernej rozmowy:

— Najpierw to ksiądz dziekan nie przyjdzie, bo spowiada, i teraz tak jest zawalony

w konfesjonale, że ruszyć się nie może. A potem niech lepiej da pani Wątorkowej dziewczkę do pomocy, by pani gospodyni nie musiała sama myć podłogi...

Pogłaskała ją ta słuszna uwaga.

— Już o tej dziewczce mówiliśmy. Miałam ją sobie sama we wsi wynaleźć, ale byle jakiego tłuka nie wezmę do kuchni. Tymczasem potrafię sobie sama usłużyć i nie pozwolę, żeby podłoga w kuchni i u mnie, choć sosnowa i niezapuszczana, miała wyglądać jak w stajni. Zobaczy Felek, że zaraz będzie jak bursztyn...

— To jazda!... Bo dalibóg pani Wątorkowa!... Czy ja co przeszkadzam?... Ja tam już i tak nie ciekawy!...

I dodał znacznie ciszej...

— Cóż to ja pani Wątorkowej nie widziałem już bez spódnicy nawet i w koszuli, czy co?...

Odróciła się jak fryga z ciekawości, ukazując tem samem obnażone kolana z pod podniesionej już wysoko spódnicy.

— Widział mnie Felek, widział naprawdę?... I ciekawam to kiedy?...

— A jak pani Wątorkowa spać szła. I czy raz widziałem...

— I jak, jak?...

— Poprostu całkiem — przez okno...

— To nie może być, bo ja codzień okna dobrze zasłaniam...

— Nie całkiem... Raz pani Wątorkowa nie dosunęła firanki a ja się przysunąłem cicho...

— I co, co?...

— Wszystkom widział, co trzeba...

— A zbereźniku jeden, a oberwańcze zatracony — strofowała ale nie bardzo gniewnie — to nie wstyd tak podglądać młodemu chłopcu białogłową, która o tem nic nie wie?... A kto to tak Felka nauczył?...

— Kto miał nauczyć?... Sam dobrze wiem, co trzeba robić...

— I co Felkowi z tego przyszło, że mnie podpatrywał. Przecie to grzech...

— Kiedy trudno się było odlepić od szyby. Tak jakoś było przyjemnie...

Strofując tak Felka, ale nie bardzo srogo, zabrała się nareszcie do roboty i wkrótce jej pełne, jak utoczone z różowego marmuru, nogi oparły się o twardą i szorstką podłogę

kuchni. W górze ponad niemi błysnął fragment koszuli białej i miękkiej, nie wiele nawet osłaniającej uda, drażniąco wydatne...

Felek poczuł w tej chwili, jak mu kolana dziwnie osłabły, wzdłuż kręgosłupa poczęły spacerować piekące mrówki a w gardle coś słodko łaskotać. Przyjemnie osłabiony obsunął się na mały stołeczek, stojący obok dużego sosnowego stołu. Siedząc tak, pożerał oczyma jej kolana, migocące mu różowymi refleksami za każdym poruszeniem myjącej żwawo podłogę Wątorkowej...

Aż się nań o to gniewać zaczęła. By ją udobruchać, zapytał:

— Czy pamięta pani Wątorkowa tę figurę niewiasty, co to stoi w bocznym ołtarzu w kościele zaraz na lewo u wejścia...

— Albo co?...

— Bo ta figura także nie ma nóg przysto- niętych spódnicą. Tylko że jej kolana to ani się umyły do kolan pani Wątorkowej...

Obruszyła się najwidoczniej.

— Co tam Felek za głupstwa jakieś plecisz... Moje grzeszne ciało przyrównać do ja-

kiejs tam świętej i to jeszcze całej w złocie. To obraza boska...

Felek, niezachwiany w swych wiadomościach kościelnych, gorąco zaprotestował:

— Taka mi i to święta!... Przecie to Ewa, nasza pierwsza matka. Wiadomo, zgrzeszyła i teraz my wszyscy cierpimy, a złe nas kusi...

Wątorkowa stropiła się nieco tem małym obeznaniem się w rzeczach wiary.

— No, nie święta, prawda, ale zawsze taka osoba, co w kościele stoi... Gdzie mnie tam do niej.

I zła najpierw z powodu tego, że ten chłopak ją poprawił co do tej Ewy, potem, że nie spuszczał z niej oczu, krępował jej swobodę ruchów, zwróciła się doń, prawie już rozzłoszczona:

— Cóż to, Felek długo tak będzie siedział tu jak na teatrze?... Wlepił oczyska w moje nogi jak w marcepan i ani myśli się ruszyć.

— Kiedy śliczne jak na obrazie.

— Niech sobie będą, jakie chcą, ale Felek mógłby pójść i poszukać sobie jakiej roboty...

By ją udobruchać, począł mówić o sobie

z przymilaniem się, trochę z pokorą ale nie bez chępliwości:

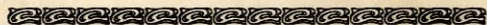
— Bo pani Wątorkowa myśli, że ja bezbożnik jestem jaki, czy co... A czy to ksiądz dziekan by mnie trzymał inaczej? Pani Wątorkowa także udaje, że mnie nie lubi. Czy to ja nie patrzę w oczy pani Wątorkowej jak ten kundys? Powie słowo i już zrobione. Czy to nie dobrze mieć takiego chłopca pod ręką?...

A widząc, że jest już nawpół udobruchana, chępił się dalej:

— W pokojach swoje zrobię, w kuchni co trzeba pomogę, a w kościele zaraz po księdzu dziekanie i organiście jestem pierwszy. Może nie?...

Spojrzała nań i znów jej się śmiać chciało z tego wyrostka, który trząsał głową, jak kogut na deszcz, a z ócz sypały mu się iskry, jak z pod młota Wątorka nieboszczyka, jej męża. Widząc, że patrzy nań coraz łaskawiej, Felek nie załował sobie dalej:

— Albo dzwonić umie kto lepiej odemnie, ha? A kto mnie tego uczył?... Sam się nauczyłem. Nieraz ksiądz dziekan nie może się

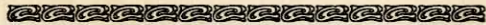


nadziwić. Jak ty to Felek — powiada — robisz, że tak czterema dzwonami od razu potrafisz dzwonić, a tak to ładnie i składnie jest, jakby tam czterech ludzi na dzwonnicy siedziało. A ja na to: Bom silny i swój sposób mam...

— Jaki, jaki? — pytała bardzo zaciekawiona, wykręcając ścierkę, pełną brudnej, ociekającej wody i pochylając przy tem cały swój utończony korpus w tył tak radykalnie, że chciałym oczom Felka stanowczo nie trzeba już było więcej...

Gorączkując się tym widokiem i opowiadaniem własnem, gestykulował coraz zawzięciej:

— Niech pani Wątorkowa tylko patrzy. Tu mam po obu bokach po jednym dzwonie z każdej strony. Te najmniejsze niczem pędraki. Ale głośne są, że aż rozkosz słuchać. Sznur od jednego biorę w jedną rękę, sznur od drugiego w drugą i już mi grają, jak chcę. Ten średni dzwon trochę jest pęknięty, ale gdy z innymi dzwoni, to tego nie znać. Sznur od tego chrapacza, bo tak go sobie nazywam, zaczepiam o prawą nogę i gdzie



mi trzeba, to sobie nią pociągnę.... Tak mi grają wszystkie trzy aż miło...

— A czwarty? — pytała bardzo zainteresowana jego żywym i bogato gestykulacją illustrowanem opowiadaniem.

— Czwarty jest od święta. Dziś przed Matką Zielną też będzie w ruchu. To największy dzwon. A taki przejmujący. Ja się jeszcze do niego nie przyzwyczaiłem. Ksiądz dziekan powiada, że to największy jego pomocnik. Bo jak się odezwie, to grzesznik z jego parafii, żeby o dziesięć mil gdzie był, to go musi usłyszeć, przerazi się i przyjdzie pomodlić się kościele...

Felek, który bardzo pilnie wsłuchiwał się co niedziela w kazanie księdza dziekana, bezwiednie przejął się jego wzniosłym stylem i w chwilach podnioslejszych bezwiednie go naśladował. Wątorkowa pobożnie kiwała w takt jego słów głową.

— Felek nie powinien mnie przez okno podglądać i teraz tak łakomie na moje nogi patrzeć, bo to grzech. Jeszcze się ten wielki dzwon grzeszników obrazi — i co będzie? Tak reflektowała go apetyczna księża gospodyni.

Porwał się zuchowato i przyklęknął przy Wątorkowej, jakby ją chciał w pół objąć i ku sobie przygarnąć. Równocześnie uspokajał ją.

— Co miałyby się obrazić?... Czy to nogi pani Wątorkowej nie śliczne?... Ile to razy już napatrzyłem się babom, jak piorą bieliznę nad stawem. Pomiędzy niemi są młode i także nie zakrywają tego, co im Pan Bóg dał. Ale żadna nawet nie warta koszuli uprać pani Wątorkowej...

Pokraśniała z mile połaskotanej dumy. Ale Felka odepchnęła.

— Co się takim babom do mnie równać. Gdybym tylko była chciała, toby mnie eko-
nom z Krasnego Dołu był wziął. A może i weźmie...

I naraz zamyśliła się nad tą swoją przyszłą dolą. Przysiadła silnie w tył na podgiętych pod siebie nogach i zaczęła bezwiednie, wstydliwie naciągać koszulę ku przodowi...

— A z tym wielkim dzwonem niech sobie Felek nie żartuje. On doprawdy taki jakiś straszny, gdy się odezwie...

— Daję ja sobie i z nim radę...

— Jak, jak?... — dopytywała się ciekawie...

— Całkiem zwyczajnie — objaśniał z nadzwyczajną powagą. Opasuję się sznurem naokoło piersi i gdzie trzeba pochylam się cały sobą to naprzód to w tył, a dzwon grzeszników mi odpowiada, odzywając się uroczyście i poważnie. To trzeba mieć tylko sposób... Ja go mam...

Sunął znów ku niej z roziskrzonymi oczyma. Aby go się pozbyć, rzekła:

— Niech no lepiej Felek przyniesie mi jeszcze wiaderko wody, bo potrzeba.

Porwał kubeł, zakręcił się na pięcie i znikł za drzwiami.

Gdy wrócił, zastał Wątorkową w sytuacji, która go do tego stopnia zadziwiła, że mało nie upuścił trzymanego w rękę naczynia z wodą. Siedziała na małym stołeczku, trzymała się za jedno kolano i stękała przy tem bardzo przejmująco.

— To przez Felka wszystko — przywitała go jękiem zaraz od progu...

— Co, co się stało?...

— Zaskaliłam sobie kolano i boli teraz, że mało nie zwaryuję...

Postawił wiaderko z wodą przy drzwiach i zatroskał się bardzo serdecznie i szczerze...

— Ja wiem, że to bardzo boli... No moja złociuchna pani gospodyni... Ale po co cierpieć... Wyjąć skałkę i już po bólu...

— Próbuję, ale strasznie głęboko siedzi i nie daje się...

— Bo trzeba szpilką delikatnie, ostrożnie... Niech mnie pani Wątorkowa pozwoli, to zaraz będzie po wszystkim...

— Felek naprawdę potrafi?...

— I jak jeszcze... A jak ksiądz dziekan podczas żniw zaskalił sobie rękę o drzwi sto- doły, to kto wyciągnął, jak nie ja?... Jak sam doktor pani gospodyni zrobię... Jak dla rodzonyj matki...

— Ale zamknie Felek przy tem oczy — co?... — sromała się bardzo zakłopotana. — Bo to wstyd trochę. Młode chłopczysko i będzie kobiecie właśnie tam...

— Ależ zamknę, zamknę — zapewniał z zapalem — tylko mi dać szpilkę a zaraz boleć nie będzie...

— To pójde poszukać...

Weszła do swego schludnego, biało ubie- lonego pokoiku, łączącego się drzwiami za- raz z kuchnią. Przeczekał chwilę a widząc, że nie wychodzi, wszedł tam za nią. Zastał Wątorkową, siedzącą na łóżku i usiłującą dość nieudolnie dać sobie radę z bolesnym kłopo- tem. Ale jej nie szło...

Więc przystąpił śmiało, usiadł obok niej i wziął się rażno do łakomej operacyi. Oparła głowę o wysoko usłane poduszki, dała sobie odjąć rękę od bolesnego miejsca i czekała aż jej ulży.

Felek tymczasem odsuwał koszulę wyżej niż należało i zabierał się z ogromnem sku- pieniem ducha do rzeczy. Było to trudniej- szem, niż się w pierwszej chwili zdawało. Cieniutki odłamek deski zaszył się boleśnie pod ciepłą, różową skórę nogi powyżej ko- lana, wpijając się dość głęboko w mięsień. Przytem ręce mu drżały od silnego zmysło- wego podrażnienia, które jakoś dokonywanej operacyi, a także i warunki, towarzyszące jej a niezwykle ponętne, potęgowało w wysokim stopniu...

W końcu jednak podołał szczęśliwie zadaniu...

Pod wpływem ogromnej ulgi, jaką się odzuwa po ustąpieniu nieznośnego bólu, rumianolica gospodyni bezwiednie i prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, przygarnęła głowę dziewiętnastoletniego, ale nad wiek wybujałego fizycznie i sprytem Felka i ucałowała go serdecznie i długo w czoło...

W zamian za to Felek dorwał się odrazu jakoś do jej pełnych, czerwonych ust, których mu nie broniła. Potem całował jej gorące policzki, wreszcie utonął głową we wklęsłości, jaką tworzyły wydatne, zazwyczaj pięciu sznurami koralu zdobne, piersi księżej gospodyni...

Nie znalazła siły, najpewniej pod wpływem wdzięczności, aby go odepchnąć...

Głaskał ją po gorącej od napływu krwi twarzy i czulił się:

— Najpierw się nożatko strasznie naprawowało a potem jeszcze strasznie się nacierało... Już nie boli?...

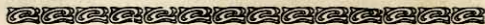
A choć go uspokoiła, że »już przeszło«!... jednak z wyszukaną troskliwością schylił się

do zranionego miejsca, opatrzył je raz jeszcze bardzo uważnie i starannie, wreszcie długo ucałował. Dla równowagi zaś całował i miejsca okoliczne, choć się przed tem broniła... Ale nie mocno.

Przypomniał jej się bowiem w tej chwili dorastający i natarczywy panicz z Krasnego Dołu, który przecie ją obiecywał wyswatać za ekonoma młodego i pełnego przyszłości. Więc też pod wpływem tych wspomnień rozebrała ją dziwna żałość, słodycz i pobłażliwość. Felek zaś, zapomniawszy na śmierć, że ksiądz dziekan może już skończył spowiadać i że najpewniej już czas dzwonić na uroczyste nieszpory przed Matką Zielną, stawał się coraz natarczywszy. Była w nim jakaś praca naprzód bezwładność młodego wichru o świcie, który się wdarł do zacisznego aż do tej chwili gaju i ani go stamtąd wypłoszyć.

Perswadowała tylko resztkami sił, cicho, półszepem:

— I kto to widział?... Niechby tak teraz ksiądz dziekan albo choć stary Jan... Rany boskie... Czy Felkowi nie strach tego dzwonu



wielkiego?... On taki straszny!... co powie?...
Aj!...

Persadowała jednak coraz ciszej, coraz
mniej przekonywująco...

Z trwającego bez porównania dłużej, niż
zamierzali, upojenia obudził ich ochrypty głos
przygłuchego stajennego Jana, który dał
się gdzieś pod oknem:

— Felek!... Felek!... Bywaj!... Czas na
nieszpór dzwonić!...

Porwali się oboje wystraszeni.

Felek wysunął się pierwszy z pokoju Wą-
torkowej, poprawiając po drodze na sobie
odzież.

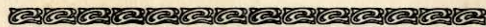
Już w kuchni natknął się na zrywającego
sobie płuca starego Jana.

— Czego się tak drzecie, jakby kto ukro-
pem lał na was?... — krzyknął mu w same
ucho...

— Drę się, bo trzeba, ksiądz dziekan już
trzy razy posyłał, żeby dzwonić...

— Już lecę, lecę!...

Kilkoma susami przemknął się ku dzwon-
nicy i wpadł pędem na jej strome i wązkie



a kręte schody kamienne. W połowie jednak
drogi osłabłe od przebytych wzruszeń nogi
prawie odmówiły mu posłuszeństwa.

Przystanął, aby odpocząć, i bezwiednie prze-
tartał oczy. Zdawało mu się przez jedno oka
mglenie, jakby go jakaś nieznama siła odpy-
chała i nie puszczała na górę.

Splunął po za siebie, zły na wszystko i za
wszystko, co się stało.

Ręce, jakby spiekłe od dotykania rozpalo-
nego chucią ciała Wątorkowej, parzyły go
przykro i dotkliwie.

Wreszcie szczęśliwie choć z wysiłkiem do-
tarał aż na górę dzwonnicy. Pochwycił jedną
i drugą ręką za sznury dwóch najmniejszych
dzwonów i począł pociągać nimi naprzemian.
Zaraz potem zwyczajem swoim wsunął prawą
nogę w półkole sznura, związanego u dołu
tuż ponad deskami, skleconemi na górze, i wnet
do dyszkantów dwóch tamtych dołączył do
wtóru chrapliwy ale łagodny głos trzeciego.
Ale mieszał mu się jakoś dziś ich rytm. To
denerwowało go niezwykle.

— Com ja tak naraz z sił opadł?... — ba-
dał sam siebie z zadziwieniem, czując, jak mu

dzwonienie dziś po raz pierwszy idzie jako niesporo i nie w takcie...

Przerwał na chwilę i głęboko odetchnął. Pot kroplisty zrosił mu czoło, przed oczyma zaś z nadmiernego wysiłku poczęły migać naprzemian to świetliste, to znów ciemne kręgi i półkola.

Spojrzał bezwiednie ku górze na dzwon największy, ów zwany dzwonem grzeszników, i nieznanym lękiem go ogarnął. Otwór dzwonu wydał mu się być paszczą jakiegoś piekielnego smoka, który zeń szydził i groził pochłonięciem...

Chciał przeciągnąć się z trwogi, ale siły jakby mu odmówiły posłuszeństwa. Splunął więc tylko poza siebie i porwał za sznur, ten właśnie najgrubszy, ostatni, z wielką pętlą, którą jak zawsze okręcał wprzód sobie poniżej piersi wokoło...

Przechylił się tak opasany raz i drugi i wnet do chorału trzech dzwonów dołączył się głos czwartego, uroczysty, urywany, przejmujący, groźny...

Ale i teraz dzwonienie owo nie szło mu tak składnie, jak zazwyczaj. Był wścickły na siebie i dobywał wszystkich sił, by pochwy-

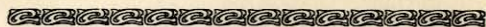
cić ten swój rytm zwykły, składny, miarowy, i swobodny. Dziwne jednak, jak właśnie dziś dokuczał mu ten sznur z pętlą, prowadzący od ramienia dzwonu największego. Uwierał go i wpijał on się dziś wokół jego postaci tak bezlitośnie, że Felkowi już oddechu zaczynało braknąć...

Krew przytem napływała mu wciąż do góry, odbierając chwilami wprost przytomność. Najpewniej jednak to wina desek, tworzących rusztowanie tuż pod dzwonami. Stanowczo jest ich zamało. Ani gdzie stąpnąć jak należy, ani się oprzeć o nie porządnie. Zaraz po święcie poprosi księdza dziekana, żeby kazał cieśli opatrzeć to rusztowanie na dzwonnicy, bo z tego jeszcze kiedy nieszczęście będzie gotowe...

Bo naprawdę niema się gdzie zaprzeć w rozpędzie nogami. A tu dzwon największy rozkołysany niezwykle, tak strasznie go ciągnie dziś ku górze...

I ta pętla tak dziwnie boleśnie uwiera... Może za wysoko ją dziś ściągnął...

Ratunku — — Ciągnie go coraz to wyżej... — —



Przekłęta pętla — —

Chciał raz jeszcze krzyknąć rozpaczliwie i naraz coś jakby mu głos bezlitośnie zdławiło w gardle...

I równocześnie w tej chwili wydało mu się, iż dzwon, ten największy, dzwonem grzeszników albo dzwonem mścicielem zwany — wśród piekielnego skowytu i chichotu nakrył go swym strasliwym, ciężkim płaszczem...

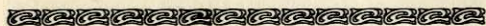
Stracił przytomność...

Wątorkowej po odejściu Felka stało się strasznie nijako. Po co to było wszystko, co się stało?... I to przez jedną głupią, małą skałkę — — —

Przez tego chłopca znowu tu miejsca nie zagrzeje... Tak będzie jak z tamtym paniczem z Krasnego Dołu...

Wiadoma rzecz... Niedługo wróble o tem będą ćwierkać, że ona, stateczna Wątorkowa, o którą miał się starać ekonom, zbałamuciła Felka, księżego wyrostka...

Wściekła na siebie, poprawiła włosy przed lusterkiem, wiszącym koło drzwi, i wyszła do kuchni...



W tej chwili za oknami ozwały się dzwony, zwołujące wieś na nieszpory uroczyste przed M. Boską Zielną.

Najpierw dwa małe, wrzaskliwe i wysokie w tonie jak kobiety, drące się na sumie. Zaraz do nich dołączył się łagodnie trzeci chrapliwy trochę ale przyjemny jakiś i łagodny, jak głos organisty...

Wzdrygnęła się odruchowo. W powietrzu dał się słyszeć głos czwartego dzwonu. Rozchodził się w przestwór falami groźnemi, jakby poszarpanemi a zarazem szarpiącemi z wściekłości...

Jakoś dziś mniej składnie idzie Felkowi, niż zawsze...

Uśmiechnęła się przyjemnie do siebie.

— Trochę się zmęczył...

Co za nieznośny jednak dzwon ten duży. Huczy i grozi, jak trąba archanioła — —

Nieznana trwoga wylęła się naraz w jej sercu i wypełzła wszystkimi porami jej różowego, ciepłego ciała na zewnątrz. Wstrząsnęła się febrycznie jak od nieprzyjemnego dreszczu.

Uczucie trwogi zaczęło w niej rósć coraz

to bardziej. Dźwięk dzwonu-mściciela siekł ją po twarzy, do uszu się wdzierał szpilkami, za włosy ją szarpał i zdawał się ją ciągnąć jak grzesznicę na kolanach tam ku wieży dzwonnicej...

Odetchnęła. Przejmujący ją tak strasznie dźwięk dzwonu zwolnił naraz gwałtownie, potem jeszcze się ozwał raz i drugi — — potem umilkł przez chwilę — — i naraz uderzył raz jeszcze ostatni ale to tak gwałtownie, jak gdyby się ktoś u serca jego uwiesił i, szarpnąwszy niem rozpaczliwie, unieruchomił je na wieki...

Długi ten i przejmujący i jakby naraz zduszony jęk ostatni dzwonu, odczuła Wątorkowa jakby uderzenie czemś tępem w głowę. W tej samej chwili pomilkły naraz jeden za drugim trzy inne dzwony...

Pod wpływem nieznanego lęku, który ją ogarniał coraz to bardziej, wróciła z pośpiechem do swego pokoju i, usiadłszy na łóżku, wtuliła się w jego kąt przy ścianie, ledwie śmiać oddychać. Krew jej uderzała do skroni a serce waliło jak młotem.

Naraz za oknem gdzieś od strony dzwonnicy dał się słyszeć głos jeden krótki, potem

za nim drugi i wnet ozwała się tam cała wrzawa głosów pomieszanych, zgiełkliwych, rozpacznych, zupełnie jakby wołano na pożar we wsi... Zdjęta niewytłómaczonym przecuciem, porwała się, jakby żagwią płonąca spazrona, wybiegła na podwórze i stąd pędem strzały puściła się ku dzwonnicy, którą otaczali zgiełk czyniący ludzie.

Z tłumu padały głosy:

— Taka śmierć... Kara widać boża... Bóg dopuścił... W samą wigilię do Matki Najświętszej...

Przedarła się jak nieprzytomna przez ciżbę i poczęła biedz skrętymi kamiennymi schodkami ku górze. Przed samem drewnianem rusztowaniem z desek zatrzymała się, spojrziała w górę przez chwilę błędnie oczyma i osunęła się zemdlna na ręce tych, którzy za nią spieszyli ciekawie...

Tuż pod dzwonem największym, dzwonem grzeszników, uczepiony w około szyi pętłą sznura, idącego aż do jego ramienia, wisiał straszny, z wytrzeszczonemi oczyma trup Felka...

AMOR HISTERICUS

Wracał do domu zły, zgryziony i zdenerwowany. Był pewien, że tam już zostanie list od niej. List taki mu znany... Będzie pełen prośb, zaklęć i wyjaśnień, czołgania się prawie.

I o co?... By wrócił, by »jej nie dał tak samej, opuszczonej umrzeć«, by ją »utulił biedną, całą rozszlochaną« itd.

Znał już to wszystko w kółko aż do znużenia. Niema cienia obawy, aby dziś właśnie list taki zrobił na nim jakiegokolwiek wrażenie. Jeśli zostanie go w skrzynce, nie zmieni to ani trochę jego postanowienia. Wyjmie, przeczyta z greckim spokojem, zemnie, rzuci pod stół i weźmie się zaraz z całą energią do pakowania. Jutro będzie już od niej oddzielony przynajmniej stu milami. Jutro już będzie wolny od jej wiecznych scen, spazmów, szlochów, od tych jej wiecznych awantur, które mu cały świat przysłoniły, omal nie przyprawiły już o utratę zmysłów.

Ale listu w skrzynce nie było...

Targnął nim nowy lęk. Widocznie chce przyjść sama, osobiście. Doskonale wie, w jakim celu. Z początku będzie go przekonywać cicho, spokojnie, potem do tego dołączą się łzy, a gdy wreszcie i te go nie wzruszą, położy mu się jak zawsze u stóp i będzie go tak błagać, aż do wyczerpania sił:

...niech tylko jej nie zostawia tak samej na pastwę rozpaczy...

...niech zostanie za wszelką cenę, on, jej wszystko na świecie...

...niech uwierzy, że teraz właśnie dla nich otwiera się raj, już niczem nigdy w przyszłości nie zamącony... Bo oto po tylu zgrzytach i rozdźwiękach dusze ich nareszcie zrozumiały się, nastroiły w cud harmonii. Już teraz nie będzie ludzi szczęśliwszych od nich...


Tak kusząc, będzie go głaskała po twarzy, po włosach, będzie doń przemawiać coraz to ciszej, pieśczośliwiej, będzie mu z takim rozkosznym i nieodpartym omdleniem obsuwać się w ramiona, aż ją otoczy, ogarnie i pociągnie ku sobie na nową rozkosz, na nowy szal a potem... piekło...

Był już piątym z rzędu jej kochankiem od czasu, gdy rozwiodła się z mężem. Wiedział o każdym z nich jak można tylko najdokładniej od jej przyjaciół, znajomych, powierników. Z tych fragmentów, które na ten temat pozbiierał, mógł już dziś napisać najwierniejszy pamiętnik jej ubiegłego życia.

Najbardziej zastanawiała go jedna charakterystyczna strona tej jej barwnej uczuciowej przeszłości. Oto do każdego z kochanków swych kolejno jak pies przywiązana, każdego jednak potrafiła przesyć nie tylko niebem ale i piekłem. Przedewszystkiem zaś piekłem. Cóż więc dziwnego, że każdy z nich otrząsał w końcu pył z sandałów swoich i zniknął z przed jej oczu na zawsze...

Pojmował każdego z nich dzisiaj tak doskonale. To, co każdy z nich uczynił, wynikało z naturalnej zupełnie kolei rzeczy. Czy jednak każdemu z nich to »ocalenie się« przychodziło tak ciężko jak jemu?... Nie ulega wątpliwości, że tak...

Poznał bowiem jej naturę tak szalenie, dotkliwie i dokładnie. Na tej podstawie zdobył pewność, że każdy z tych biedaków i ofiar



jej uczucia był dla niej tak samo w swoim czasie »jej jedynym, wyśnionym, bez którego świat wydałby się jej grobem ponurym, miejscem wiecznego zatracenia, bez słońca i rosy ożywczej«... Jest prawie pewnym, że każdemu z nich z reguły groziła na samą myśl rozstania »ułożeniem się w trumnę« i »rozpłynięciem w nicości, która nie odpycha, ale przyciąga, jak matka, koi i ucisza na wieczność...«

Mimo jednak takie ciepłe zaufanie do nirwany, po każdej kolejno katastrofie zerwania podnosiła się wnet jak trawa morska po przejściu orkanu, znów uśmiechnięta, promienna, tęskniąca do szczęścia i umiejąca je rozrzucić przed oczy nowego ukochanego całemi garściami...

Nabrał pewności niezachwianej, że to wszystko z niedużemi odmianami powtórzy się też obecnie, gdy i jego utraci. Stało się to zaś już dziś w południe. Jutro będzie to faktem naprawdę już nie do odwrócenia.

Pociąg, mający połączenie z Monachium, odchodzi z rana o godzinie siódmej z minutami. Przez dzisiejszy wieczór zatem zapakuje się, potem z pewnością najpewniej może w ubraniu z jakie dwie godziny, poczem koło szóstej

z rana zbudzi go przez stróża Jana już zamówiony i upewniony zadatkiem dorożkarz...

Tak zamyślony podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Mżył deszcz uprzykrzony wrześnie- wego słotnego wieczoru i zatapiał całe miasto w przejmującej mgłę i wilgoci. Dorożki z zapuszczonemi budami obryzgiwały przechodniów, spieszących się przed siebie. Zegar z wieży maryackiej wyliczył miarowo godzinę ósmą wieczorem...

Latarnie płonęły mętnemi światłami żółtawych płomyków, przesłoniętych woalami mgły i deszczu. Na ulicy, w którą patrzył, było stosunkowo dość pusto, tak iż ze swego okna na pierwszym piętrze mógł nawet przy uważniejszym wpatrzeniu się rozróżnić przechodzących. Więc też gdyby zdążyła ku bramie, poznałby ją z pewnością. Ale nie dostrzegł jej na szczęście...

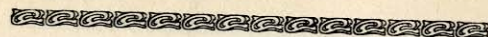
To go napełniło znaczną otuchą. Może nie przyjdzie zupełnie. Nie jest bowiem wykluczonem, że swą zwyczajowo błagalną odpowiedź na temat tego, co między nimi dziś w południe zaszło, przysze dopiero jutro rano.



Może właśnie teraz zasiadła do pisania listu. Będzie go pisać do późna w noc. Potem zwyczajem swoim, gdy jest bardzo nieszczęśliwa i złamana, nawet nie zdejmując sukni, runie na łóżko i tak w majaczeniu półsennem spędzi resztę nocy aż do rana. Wówczas list, już napisany, raz jeszcze odczyta i przyszłe mu go przez służącą z żądaniem, by »zaraz przyszedł ją utulić, bo jest śmiertelnie wyčerpana bezsenną nocą, którą przepędziła z myślą o nim«.

List będzie napisany nierównym, nerwowym charakterem, poplamiony cały od łez, z odciskami włosów jej głowy, na znak, że ta biedna głowa wspierała się na papierze jakby pod brzemieniem przytłaczających myśli tu i ówdzie na niedokończonym wyrazie. Cała treść tego listu od początku do końca będzie błaganiami o powrót do tego błędnego kierunku, w którym chodził od roku, jakby otumaniony jej pieścizotami, łzami, spazmami i atakami furii...

Dziś już jednak nie wróci do niej za żadną cenę. Jest to najzupełniej wykluczone. Czyż nie zapowiedział jej tego dość stanowczo i otwarcie?... Gdy obrzuciła go z powodu



jakiejś błahostki stekiem najprzeróżniejszych obelg a potem popadła w płacz nerwowy, urywany, przeplatany wyrzekaniami i wyklanianiem go, powstał naraz w pewnej chwili i, doprowadzony tem wszystkim znów do ostateczności, rzekł, trzymając w ręce kapelusz:

— Odchodzę, czy słyszysz?...

A gdy mu odpowiedziała chichotem histerycznym, dokończył równie spokojnie i stanowczo:

— I więcej tu nie wrócę!... Pojmujesz?...

Nie próbuj nawet tym razem walczyć z moim postanowieniem. Jutro stanie się bowiem coś, co nas nareszcie rozdzieli na zawsze...

Wygłosił to z umyślnym patosem i zagadkowo, dla nadania swym słowom tem większego wrażenia.

Z zaczerwienionemi od płaczu oczyma porwała się i chwyciła go za rękę:

— Stasiek!... Coś ty powiedział?... Znowu się mamy rozstawać i o co, o co?!...

— Pytasz się jeszcze?... Czy nie widzisz, że od tych ciągłych scen, któremi przeplatasz szczęście nasze, zmysły już tracić zaczynam... Cóż ci z tego przyjdzie, jeśli mnie

stąd, gdzie mi raj obiecywałaś, odniosą lada dzień wprost do domu obłąkanych...

Czepiała się raz po raz jego rąk, jakby pod wpływem słów, które słyszała, tracąc przytomność.

— Stasiu!... Ty chyba tego na serio nie mówisz?... Ty miałbyś już do mnie nie wrócić?!... Do mnie, do mnie... do swej Mewy, którą tyle razy zapewniałeś, że ją kochasz nad wszystko w świecie?!...

Czy miał jej odpowiadać po raz setny na próżno, że tę miłość jego szczerą, płomienną, wyzywającą o nią na bój całe światy, już dawno zabiła swoim postępowaniem. Więc milczał uparcie, czekając tylko na możliwość wyjścia...

Ale nie puszczą go.

— Ty może chcesz mnie odjechać?... Powiedz!... Pewnie to miałeś na myśli, grożąc mi opuszczeniem...

— Jutro ci wszystko wyjaśni...

— A więc tak, więc miałam słuszność, obawiając się tego od szeregu dni. W twoich oczach już od dni kilku czytam najwyraźniej że ty mi chcesz coś złego zrobić...

Nie... Tobie tego nie wolno uczynić... Ty znasz stan mego biednego, tak skołatanego serca... Ty wiesz, że jabym tego już teraz nie przeżyła...

W odpowiedzi ostatecznej na te tak znane mu lamentacje odsunął ją tylko łagodnie ale stanowczo i wyszedł. Za nim pobiegł głuchy łoskot obsuwającego się na dywan ciała.

Ale to nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Nabrał już do pewnego stopnia wprawy w spokojnem odbieraniu wrażeń, które dawniej przyprawiały go co najmniej o rozpacz. Bengalskie ognie przestały go już straszyc łuną pożaru.

O jednym tylko myślał, idąc dziś na obiad do restauracyi, w której zwykle jadał: byle go dziś do wieczora pozostawiła w spokoju, byle mu dziś nie przeszkodziła w zapakowaniu się do podróży. Sprawę zbycia mebli załatwi mu doskonale uproszony o to znajomy.

Załatwiając szereg interesów najkonieczniejszych przed podróżą, był w ciągu całego popołudnia niezwykle podniecony. Jedynie myśl, że ta cała jego męka już się jutro skończy, dodawała mu sił i otuchy. W rezultacie prze-

trwał krytyczne pół dnia, włócząc się od cukierni do cukierni, przemierzając krokami planty i obmyślając plan jutrzejszego wyjazdu do najdrobniejszych szczegółów.

I oto nareszcie jest już u siebie, prawie bezpieczny. Byle się tylko zapakować.... Tylko to jeszcze...

We frontowym pokoju nawet światła w ciągu dzisiejszego wieczoru nie zapali, boby mogło zdradzić jego obecność w mieszkaniu. Wszystko, co jeszcze pozostawało do zrobienia, załatwi w tym drugim pokoju, z którego okno wychodziło na duży ogród klasztorny, okolony ze wszech stron murem, więc dla niej nieprzystępny. Pokój ten służył mu zarazem za gabinet i sypialnię. Tu pod widnem, weneckiem oknem stało jego duże, wygodne biurko, przy którym, pracując, tyle myśli poświęcał często jej, tej swojej Wenus białoramiennej z zawsze niezaspokojonemi żądzami i rozwichronemi do niemożliwości nerwami. Na szczęście już jutro będzie od jej zaczarowanej grotty daleko, bardzo daleko...

Tak chodząc wielkimi krokami po pokoju frontowym, nawpół rozwidnionym światłem

latarni, wpadającym przez okno od ulicy, odetchnął raz jeszcze z uczuciem nieopisanego ulgi. Dodawał sobie w ten sposób na gwałt męstwa, którego na tych kilka pozostających mu jeszcze godzin tak bardzo potrzebował.

Naraz, jakby wiedziony instynktem, postąpił do okna, spojrzął na jedno okamgnienie w ulicę i cofnął się przerażony. W kręgu latarni, stojącej tuż naprzeciw bramy kamienicy, w której mieszkał, mignęła mu na chwilę jej sylwetka.

Nie... To chyba nie było złudzenie wzrokowe. Tak, to była ona!...

Poznał ją po tak znanym mu toczku z dużym białym ptakiem, którym stroiła głowę, i tych wysmukłych węzowych kształtach, przeginających się kocimi ruchy, gdy przechodziła ulicą...

Jeszcze chwil parę, a tu będzie. Wtedy mowy niema nie tylko o zapakowaniu się ale wogóle o wyjeździe. Znał tak doskonale pod tym względem zarówno ją jak i siebie. Stanie napewno tuż przy drzwiach, pokorna bardzo i oddana, i będzie go kusić tym swoim jęczą-

cym szeptem, któremu potrafi nadać ton nieodpartej ponęty:

— Bardzo nienawidzi?... Naprawdę aż tak bardzo... Niech przebaczy... no niech już przebaczy...

Wstrząsnął się odruchowo ze wstrętem na samo wspomnienie podobnej sceny. Nietylko nie przebaczy, ale nawet nie otworzy jej drzwi, jeśli tu istotnie przyjsć zamierza...

Podobała mu się ta myśl i uczeplił się jej jak deski zbawienia. Cicho, bez szelestu prawie, przekręcił klucz w zamku, wyjął go potem delikatnie i cofnął się na bok, nasłuchując...

Nie mylił się... Na schodach dały się słyszeć nerwowe, nierówne stapania jej trzewików, tak mu znane, a zaraz potem szelest jej jedwabnych sukni, głośny i łaskoczący niemile jego nerwy.

Usłyszał dotknięcie klamki nieznaczne, niepewne a potem zaraz drugie, mocniejsze już, bardzo zdecydowane i niecierpliwe.

I pauza — cisza — jeszcze trwająca — ach jak długo nieprzerywana — —

I znów szcęk klamki, lecz już bardzo gwałtowny, urywany, bardzo zniecierpliwiony:

A po nim szept cichy, przez łzy:

— Stasio!... Stasięńku mój!... Bo pewnie jesteś... Otwórz!... To ja... twoja Mewa!...

Wtulił się w fotel głęboko, wstrzymał w sobie prawie oddech i tkwił tak rozpacznie w trwożnym bezruchu. W półciemni pokoju, rozpraszonym niepewnie blaskami latarni, zagładającej od ulicy, portyera drzwi zdawała się poruszać i grozić mu, że lada chwila rozsunie się i ukaże się w niej jej wiotka postać z boleśnie wpatrzoną weń twarzą...

Skronie zaczęły mu bić młotem i taki lęk go chwycił, jakgdyby sufit miał runąć mu na głowę. Lecz ani drgnął.

Rytm poruszanej klamki znów niecierpliwie się ponowił:

— Chyba tam musisz być, Stasięńku... Stróż mówi, że tylko coś wrócił i że pewnie jeszcze nie zdążyłeś wyjść...

Znów szept przycichł. Ale tylko na małą chwilę:

— No, otwórz-że Mewie, która taka biedna... Tylko jedno słowo chciałam zamienić z tobą, tylko jedno. Pożegnać cię tylko jesz-

cze chciałam, tylko pożegnać... już nie zatrzymywać, tylko cię jeszcze zobaczyć...

Mówiła coraz więcej... Głos jej zamierał z trwogi widocznie, by jej nie usłyszał z sąsiednich drzwi ów gburowaty inżynier, z którym się spotykała na schodach, i nie wyrzał ze swego mieszkania, pomrukując zwyczajem swoim.

Raz jeszcze dało się słyszeć jej błagalne:

— No otwórz Stasiu... to niepodobna, by cię tam nie było, okrutny, niepodobna...

Mówiła tak widocznie, jakby dodając sobie otuchy, jakby siebie samą przekonywując, że on tam być musi wewnątrz pokoju, ten jej Stasiu niedobry, niegodziwy...

W końcu zwątpiła widocznie zupełnie. Jeszcze odruchowo, lecz już bez wiary, zatargała po kilkakroć klamką i wreszcie odeszła, powoli, słaniając się...

Oddalające się jej kroki były ciężkie, niepewne... Słyszał jak nierównym, chorym, zamierzającym rytmem stopy jej uderzały o stopnie schodów, póki zupełnie nie umilkły i nie utonęły w głuchym, wieczornym, rozgwarze ulicy...

Patrzył uważnie w dalszym ciągu w okno, zadowolony ogromnie z siebie, że nie otworzył. Bo i pogo?... Przecie to było do przewidzenia, co by się wówczas było stało. Łkałaby mu w ramionach tak długo, póki zniecierpliwiony i rozklejony jej łzami, nie objąłby jej najpierw przez litość a pod wpływem pieśczoć, odradzających się w nim z nieodpartą mocą, nie wypiłby łez z jej splekanych oczu, nie zamknął ust pocałunkiem, któryby mu parzył usta, i nie utulił wreszcie w długim, niekończącym się uścisku podzielonej już obustronnie rozkoszy...

A tak odeszła sobie...

Za chwilę znajdzie się znów w kręgu tej najbliższej latarni, stojącej tuż naprzeciw jego bramy, popatrzy w stronę jego okna i odejdzie złamana i zbolała w stronę swego domu, do swej pracowni rzeźbiarskiej, gdzie usiądzie wśród niedokończonych swoich prac i odda się niepodzielnie rozpaczy...

Oto już wyszła istotnie z bramy —

Idzie powoli, słaniając się, bardzo znękana i zbolała.

Przystanąła.

Patrzy uparcie w jego okno, a choć zionie odeń ciemnością, nie odrywa od nich swych oczu. Czyżby przeczuwała, że te ciemności kryją jego postać.

W skronie zaczęły mu znów napływać niecierpliwione fale krwi. Żeby już raz sobie poszła, żeby przestała bodaj tak patrzeć uparcie.

Odetchnął. Nareszcie...

Odwróciła twarz i idzie znów powoli przed siebie, niepewna, jak widać, bardzo i niezdecydowana. Jakiś dandys uliczny w cylindrze przystanął niedaleko niej. Zaczyna krążyć wokoło. Szuka najwidoczniej pretekstu do zagadnięcia jej...

A no... Jeżeli kobieta przystaje w kręgu latarni ulicznej, daje tem samem pole do popisu donżuanom przygodnym. Dobrze jej tak... Zresztą, cóż ona go może jeszcze w tej chwili obchodzić...

Zaczął się znów niecierpliwić...

Właściwie poco ona zatrzymała się tam pod latarnią tuż naprzeciw bramy jego domu i nie wraca do siebie?... Widocznie liczy, że on zaraz nadejdzie i że się zetkną w ten sposób.

Plan, jak na ten raz, strategicznie fatalny, gdyż czekać tam może na niego choćby do samego rana...

Zastanowił się przez chwilę nad własną przeciw niej zawziętością. Czegobo nie przeszedł i nie doznał od niej, zanim ją tak strasznie znienawidził... Poco go też więziła przy sobie? Ilekroć chciał zerwać, uciec, kładła mu się po przez drogę całym swoim ciałem, zmuszając do pozostania nadal w tem męczeskim kole miłości, która już cała w piołun przemienioną została...

Choćby i teraz. Uwzięła się nań czekać, ani przeczuwając, że był to z jej strony postunek na stracenie...

Niemniej nie odchodziła... Krążyła jej toczek, strojny wydatnym, dużym, białym ptakiem, migał się wciąż w świetle latarni, a długa sylweta jej postaci o wężowych, rozkołysanych ruchach odcinała się bez przerwy w tumanie wilgotnej mgły ulicznej, wysrebrzonej tu i ówdzie światłem gazowem. Przechodnie mijali ją nie bez zdziwienia, zagłądano jej w oczy dość cynicznie, ten i ów zagadał do niej,

zresztą napróżno, mimo wszystko stała tam u stóp latarni ulicznej, jak posąg Niobe...

Zegar wybił był właśnie godzinę dziewiątą. Zdawała się tych uderzeń nie słyszeć, a tem mniej je liczyć. Był bardzo niemile zdziwiony i zaskoczony. Widocznie zanosilo się na uporczywą blokadę jego mieszkania...

Jeżeli tak było, to blokada ta miała najwidoczniej trwać aż do godziny dziesiątej, to jest do czasu zamknięcia bram domów przez stróżów. Dłużej chyba zbraknie jej cierpliwości. Da za wygraną... Równocześnie głucha wściekłość zaczęła go ogarniać.

Co jej daje prawo tamować mu swobodę ruchów?... Gdyby mu w tej chwili naprzykład przyszedł kaprys opuszczenia własnego domu, nie mógłby tego uczynić, bez narażenia się na zetknięcie się z nią, czego pragnął znów uniknąć za wszelką cenę. Jest to conajmniej wstrętne z jej strony.

Odstąpił od okna i począł znów chodzić wielkimi krokami, roztrącając po drodze krzesła.

— Oto Beatrix — myślał z ironią, równą swem napięciem w tej chwili wściekłości, jaką

był ogarnięty całą. Miała mu być światłem na drodze życia, natchnieniem różowych świtów, dwojgiem błogosławiących ciepłych dłoni, położonych na jego, chłodne od zimnych podmuchów życia, czoło — a jest dlań mrokiem, piekłem, zatraceniem...

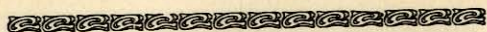
Zatem dobrze... Niech sobie tam stoi, póki jej nie zbraknie w tym kierunku ochoty.

Zbrojąc się uporczywie w spokój, przeszedł do pokoju drugiego, drzwi za sobą zamknął starannie, zapalił lampę i usiadł przed biurkiem, przy którym dziwnie dobrze niegdyś mu się marzyło...

Otworzył odruchowo szufladę i począł bezwiednie przerzucać całą stertę porzrzuconych tam w nieładzie listów. Brał je i teraz machinalnie jeden po drugim do ręki, gorączkowo przebiegał oczyma, odrzucał wnet i szybko chwycił za następny...

Niedługo powiąże je razem w jeden pakiet i odda zaufanemu stróżowi Janowi, by jej przed południem odniósł.

Opadł go bezwiednie całą tuman wspomnień. W tej oto szufladzie miał przed sobą całe jakby dzieje tej przeszłości od roku trwa-



jącej już męki. W jego gorączkujący się coraz to bardziej mózg wpijały się takie oto kolejno ustępy listów:

»... Całą noc, Staśku mój, przepędziłam bezsennie, w gorączce. Potrzebuję twego ramienia, któreby mnie utuliło w żalu. Przyjdź, błagam cię na wszystko, co masz najświętszego w życiu, przyjdź zaraz, bo oszaleję, a cóżbyś wówczas robił ze mną szaloną, Stasięnkę mój, życie moje i skarby, droższe mi nad światy!...

Czekam cię, licząc ze śmiertelną niecierpliwością każdą sekundę, która mnie oddziela od chwili zobaczenia cię z powrotem.

Twoja na zawsze, twoja i wierna ci Mewa, której tak bardzo źle na świecie bez ciebie«.

Cisnął precz od siebie ze wstrętem czytany list, wsparł brodę na podwiniętych pod nią dłoniach i wpatrzył się cały w te majaki wspomnień, które oto otoczyły go niepodzielnie całego. Zawrotne mamidła, pełne szałów i ekstaz. Tyle, tyle poświęcił im chwil najcudniejszej, płomiennej młodości...

Przypomina sobie, ach jakże dokładnie przypomina scenę, która poprzedziła napisanie

tego właśnie listu. Zdenerwowana najpewniej nieprzyjęciem jednej ze swych prac na wystawę przez sąd jurorów, przyjęła go, wchodzącego z uśmiechem ufnej młodości, najnie spodziewanej jak rozszalała furya:

— Przyszedłeś znów kpić sobie ze mnie... Popatrzyl na nią zdziwiony.

— Kpić?... Dajże spokój, o przesłodka!... I wyciągnął ku niej ufne ręce:

— Twych ramion mi potrzeba, ciepłych, krągłych, upajających...

Odpowiedziała mu zgrzytliwym, długim śmiechem:

— A tak... Samicę tylko we mnie mieć pragniesz... Nic ponad bezduszne ciało...

— Czemuż bezduszne?... Przeciwnie... A przytem takie piękne... Czyż nie jest samo w sobie arcydziełem?...

— Precz! Nie dotykaj się mnie!... Jakież przegniłe to wszystko naokoło, jakie płaskie, wstrętne. Wszyscyście podli, a ty z nich najbardziej!... Czuję, że oszukujesz mnie każdym swem spojrzeniem, każdym uściskiem... Ach, jakże ja ciebie niecierpię, jak cię nienawidzę...

Usta jej drżały febrycznie, te same usta,

które dotąd jedynie słodycz umiały brać i dawać. Z oczu jej czarnych, zwykle lęklanych jak u gazeli, strzelały błyskawice najwyższego rozwścieklenia. Pierwszy raz oglądał ją tak rozjuszoną. Dotąd ani przypuszczał, żeby nie tylko ona, ale wogóle kobieta, tak zawsze miła, słodka, ponętna, umiała naraż przeobrazić się w coś tak potwornego fizycznie i moralnie. Z uczuciem najwyższego przerażenia i wstrętu pozostawił ją w tym stanie rozwścieklenia i uciekł poprostu, postanawiając już więcej do niej nie wrócić po tem, co oglądał i słyszał.

Upłynął potem dzień jeden i drugi. W dniu trzecim otrzymał ów, dopiero co odczytany list. Był tak porwany jego płomienną treścią, że wrócił bez wahania. Poprostu sam nie wierzył temu, co zaszło. Zdawało mu się, że to był sen tylko, przykry sen.

Przyjęła go zawstydzona ogromnie, nieśmiało i, co go zastanowiło bardzo, jakby pokorna. Tego objawu jej usposobienia dotąd nie spostrzegł ani razu.

Nie mówiąc jednego słowa, porwała jego rękę i przyłgnęła do niej nerwowo zgorącz-

kowanemi ustami. Cofnął rękę czempredzej, zdziwiony swoją drogą do najwyższego stopnia i przygarnął ją do siebie serdecznie bardzo i szczerze.

Utonęli oboje w przesłodkim, obustronnie ufnym, uścisku...

I znowu zaczął płynąć dla nich szereg dni, niczem nie zamąconych, rozświetlonych od szczęścia bez chmur i trosk. Chodzili znów po długich alejach parku zakładowego, w którym leczyła się hydropatya i opowiadali sobie o tych wszystkich przecudnych rzeczach, jakie tylko kochanków zmyslenie jest zdolne stworzyć w marzeniach swych o szczęściu.

Ale horyzont znów niedługo potem zaczął się zachmurzać...

Najzupełniej bez powodu stawała się chwilami jakaś dziwnie niecierpliwa, opryskliwa, niekiedy na całe dni milcząca i zachmurzona. Pod wpływem jego pieszczoł, łagodnych słów i tkliwości, jaką umiał wkoło niej roztoczyć, stawała się znów tą samą jak po poznaniu więc roześmianą i tak bardzo mu oddaną Mewą. Ale to nie trwało zbyt długo. Posepność wra-

cała i zatrzuwała obojgu długie godziny wspólnego pożycia.

Niekiedy usiłowała usprawiedliwiać swoje usposobienie...

— Świat, rozumiesz mój drogi, jest taki marny, zły i głupi a nadewszystko nudny. Nikt mnie naprawdę nie rozumie i nie potrafi ocenić...

X Była to ulubiona jej zwrotka, którą z przerwami waryantami powtarzała w kółko aż do znudzenia. Wtedy nawet miłość, którą zazwyczaj miała we wielkiej czci, nie ostawała się przed jej wyrzekaniami i obelgami.

Gdy usiłował ją przygarnąć, utulić i wywołać w ten sposób uśmiech swobodny na jej twarzy, złorzeczyła...

— Czyż jestem fabryką rozkoszy?... To przecie jest ohydne wprost nasycać się, nie czując głodu, napawać, nie mając pragnienia...

Więc usuwał się, nie narzucał, wpadał do niej na krótko, zamieniał kilka słów przelotnych, a widząc jej zachmurzoną, ponurą twarz, znikał z przed jej oczu, ratując spokój i wrodzoną równowagę swej duszy.

Wówczas zarzucała mu obojętność, nieczu-

łość, oschłość serca, wyrzekała nań, że ją karmi niewdzięcznością za tyle uczucia, które mu okazała, i że nie umie ocenić poświęcenia, z jakim ofiarowała mu siebie, swoją sławę, pozory, wszystko...

Stan jej tłumaczył sobie przepracowaniem i nadmiernymi wysiłkami, z jakimi wykończyła wielką postać allegoryczną p. t. »Niepokój«. Pracowała nad nią, jak się sama skrzyżała, całą wiosną i na samem wyjeździe do zdrojowiska posłała ją do oceny jurorów.

Jakoż pod koniec czerwca przyszła decyzja. Była niepomysłna. Rzeźby nie zakwalifikowano na wystawę jesienną, bo »nie odpowiadała warunkom ogólnym«.

Strach go zdjął dziś na samo wspomnienie, co wówczas przeżył po nadejściu tej fatalnej odpowiedzi. Wczytał się z ogromnem zajęciem w list, który był tych przejść nad wyraz smutnych bardzo wymowną ilustracją.

— Stachu, duszo ty moja jedyna — pisała mu — bo innej nie mam, mieć nie chcę i nie mogę!... Ty jeden tylko jesteś moją duszą, słońcem, życiem całym...

Wróć mi, wróć siebie natychmiast, bo żal,

straszny, szczerzy żal moje biedne serce rozrywa. Jestem twoją, niepodzielnie twoją i pozostać nią chcę do śmierci, ale musisz wrócić, wziąć mnie sobie z powrotem, jak swoją własność, przygarnąć do siebie, jak ty to jeden tylko umiesz, tkliwie i serdecznie.

Możesz mnie odtąd już rzucić sobie pod nogi, tyranizować, ile tylko będziesz chciał, nawet lżyć, jeśli ci się będzie podobało. Tylko wróć, bądź moim, znowu moim i tylko moim...

Bo ja cię muszę odzyskać. Czy ty pojmujesz, co to znaczy. Jeśli nie przyjdiesz zaraz, do domu twego się przywlokę.

U drzwi twoich legnę i tam skowyczeć z bólu będę jak pies, którego pan swój kopie a biedne zwierzę nie ma siły odejść, bo kocha, nad życie swe kocha, bo jest wierne, i życie swe za swego pana każdej chwili poświęcić gotowe...«

Przetarł ręką oczy, jakby jeszcze teraz nie wierząc, że to pisać mogła kobieta po najwstrętniejszej scenie rozszalenia jej nerwów, której omal życiem nie przepłacił. Jakże ironicznymi wobec tych wspomnień wydały mu się słowa, które właśnie czytał:

— »Ty musisz, Stachu mój, uznać we mnie kobietę kochającą, zdolną do wszelkich ustępstw. Twój i mój spokój cenię nad wszystko. I dlatego posyłam ci twego rywala, ten oto mały, tak ślicznie cyzelowany, ukochany rewolwerek.

Ty wiesz, czem on był i jest dla mnie...

Znasz moją manię prześladowczą. Czyhają na moje życie i nie wolno mi jednej chwili zostać bezbronną. A jednak posyłam oto do twego rozporządzenia tego mego jedyne go i najwierniejszego obrońcę...

Czy umiesz ocenić i pojąć ogrom mego poświęcenia?... Mam oto uczucie, że mogą mnie za chwilę, ci moi wieczni prześladowcy i wrogowie, opaść, zbezczęścić i zamordować. Może już wiedzą nawet, że pozostanę za chwilę bezbronna i sama...

A jednak, gdyby się to stało, (ach jakże pragnę znekana, żeby się to stało...) wówczas umarłabym z rozkoszą a twoje imię, Stachu, droższy mi nad życie, jak widzisz, byłoby ostatniem słowem, któreby wyszeptały usta moje...

Czy teraz już przebaczysz swej Mewie i wrócisz jej siebie, zaraz, strasznie zaraz«...

Odłożył list z gorzkim uśmiechem. Jakże dokładnie pamięta całą tę ohydłą scenę, która poprzedziła ten list...

Siedzieli przy herbacie, przeglądając pisma wieczorne. Naraz przypomniała sobie coś, co zmarszczyło jej czoło. Domyśla się w lot dokładnie, o co jej chodzi. Spotkali, wracając plantami od strony Basztowej, piękną żonę dziekana fakultetu filozoficznego, u którego jeszcze do niedawna bywał, bardzo życzliwie tam przyjmowany i zachęcany do częstego bywania.

W przechodzie piękna żona dziekana obdarzyła go uśmiechem, pełnym serdecznego współczucia. Ten jej nieskrywany uśmiech mówił:

— Biedny chłopcze! Szkoda cię dla takiej...

Zrozumiał treść tego współczującego uśmiechu doskonale. Najgorzej jednak, że równie dobrze pochwyciła go i odcyfrowała sama obwiniona. Czuł to teraz doskonale po zjadliwych spojrzeniach, jakie ciskała nań raz po raz z poza gazety. Słyszał to również w niepokojnym, nerwowym dzwonieniu jej łyżeczki o krawędź smutnie jęczącej szklanki.

Wszystko to zapowiadało straszną burzę. Postanowił też, uprzedzając jej nadejście, zemknąć, jak to czyni przezorny wódz, aby nie być ogarniętym przez nadciągające przemożne siły nieprzyjacielskie. Będącego jednak już przy drzwiach dogoniła i zamknęła mu je z ironią tuż przed samym nosem. Bezradny usiadł, zrezygnowany na wszystko.

Stanęła przed nim, cała dysząca od wściekłości, która się w niej przelewała:

— Gdzie znów szedłeś?... Spiesz się widzieć panu tam do tej innej, drugiej... Bezwstydnica jedna... W mojej obecności śmiała się mizdrzyć do ciebie!...

Gromadził w sobie na gwałt wszelkie możliwe zapasy cierpliwości, kombinując, czy też burza długo potrwa i czy bardzo będzie skomplikowana w swych objawach. Lecz ten niemy i bierny opór, z jakim przyjmował ciosy swego niewesołego losu, jeszcze bardziej podniecał ją i rozdrażniał. Doszło do tego, iż cisnęła mu w oczy serwetką, potem książką, wreszcie nożem...

Uchyłał się zręcznie, gardząc nią w duszy i poprzysięgając, iż się widzą już po raz

ostatni. Nie protestował jednak ani słowem przeciw atakom na całość swej osoby. Postanowił przeczekać, aż się burza sama przesili i uśmierzy.

Na to się jednak nie zanosilo wcale. Spokój jego zdawał się ją rozwścieklać coraz to bardziej. Przyskakiwała doń z zaciśniętymi pięściami, darła na sobie suknię, zdawała się chwilami tracić przytomność ze wściekłości...

Naraz jakby pod wpływem jakiejś obłąkanej myśli podbiegła ku drzwiom, zamknęła je na klucz, a schowawszy go za gors, stanęła znów przed nim z jakimś szatańskim uśmiechem, dysząc przytem jak furja bezlitosna.

Z jej ust rozgorączkowanych posypał się nań teraz cały grad przekleństw i obelg najniemożliwszych, jakie chyba rozwścieklenie historyczne podyktować jest w stanie.

Tak rozszalałej nie widział jej dotąd jeszcze ani razu. Miał wrażenie, że, zamknawszy drzwi na klucz, rzuci się nań teraz jak obłąkana, aby go chyba dusić. Pod wpływem tej myśli, chwycił obie jej ręce, przetrzymał je w jednej swej dłoni a drugą szukał gorącz-

kowo klucza, aby nim otworzyć sobie drzwi i wydostać się za wszelką cenę na wolność.

Wyrwała mu się jednak nagłym odruchem śliskiego karpia i, zanim mógł się zorientować, co się stanie, podbiegła do szafy z bielizną i wyjęła stamtąd rewolwer. Bez chwili namysłu odwiodła z jakąś dziwnie zapamiętałą trzeźwością kurek i, najspokojniej mierząc mu w piersi z odległości trzech kroków, zaczęła mówić ze źle skrywanym spokojem:

— Ach nędzny, podły!... Chciałeś się nademną pastwić. Chciałeś mnie zmaltretować, jak robaka zdeptać i tak zdeptanego porzucić, zostawić... Ale ja przewidziałam twą podłość. Oto argumencik na twoją zwierzęcość. Krok jeden ku mnie a będziesz trupem!... Co?... Nie wierzysz?...

Jej złowrogo świecące się oczy, jej usta zaciśnięte jakimś zdeterminowaniem cynicznym wyrazem mówiły bardzo jasno, że w tej chwili gotową była istotnie to uczynić.

Sytuacja stawała się niewątpliwie straszna i śmiertelnie zarazem ciekawą. Czuł doskonale, że na pierwszy ruch z jego strony, zdą-

zający do odebrania jej broni, ta rozszalała kobieta odpowie wystrzałem.

Żebyż tylko celnym i niezawodnym!... Padłby i za chwilę już byłby poza nawiasem życia i tych wszystkich kłopotów, które ono niesie.

Lecz jeśli go tylko rani, choćby nawet mało szkodliwie. Sam huk wystrzału wystarczy, żeby wywołać skandal...

Nie, nie!... Wszystko, tylko nie to!... Zbiegliby się naraz wszyscy z dookoła, więc kucharka, stróż, także i służące z sąsiednich pomieszczeń, szewcowa z oficyn i pani officyalka z przybudówki. Wreszcie z porannych pism będzie powiadomione zaraz o skandalu całe miasto.

Na samą myśl o tem przykra gorącość tysięcy mrówek przespacerowała mu się przez stos pacierzowy...

Nie... do tego nie dopuści żadną miarą...

Przez głowę przemknęła mu myśl, by całą scenę w żart obrócić i, ośmieszając, zabić w ten sposób jej grozę.

Więc zmógł się do uśmiechu ironicznego:

— No... wyglądasz teraz, jak bohaterka dramatu augierowskiego...

— Być może, ale ci przypomnę, że w akcie czwartym tego samego dramatu bohatera układają już na katafalku...

Wstrząsnął się febrycznie. Zatem naprawdę śmierć i to z rąk rozwścieklonej historycznie kochanki. Ile też użyją sobie na tym temacie reporterzy wszystkich pięciu pism codziennych...

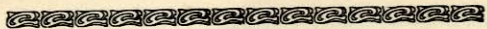
Raz jeszcze uśmiechnął się z wysiłkiem:

— Nienabity, więc poco ta cała teatralna poza?

— Tak sądzisz?... Więc patrz! Ani jeden otworek maszynki nie jest pusty...

W świetle jasno palącej się lampy przekraczając magazyn miniaturowej broni, przekończyła go o strasznej prawdzie. Możeby tak w nagłym skoku dopaść ją, wyrwać jej ten rewolwer z rąk, a potem, obezwładniwszy, wydostać klucz a tem samem wolność...

Ale nie ufał już sobie. Krok był zbyt ryzykownym. W razie nieudania się, byłaby strzeliła z pewnością, mniejsza już z jakim skutkiem, a wtedy skandal, którego się tak



szalenie obawiał, byłby już nie do odwrócenia.

Więc spróbował ją raz jeszcze sprowadzić z tego koturnu grozy.

— Słuchaj!... Skończ już na miłość boską ten wodewil, bo najpierw, że jest strasznie śmieszny, a potem możesz istotnie choćby przez nieuwagę tylko wystrzelić i będzie skandal...

— To i cóż?...

— Chyba ci tak bardzo na tem nie zależy?

— Kto wie?!... Zresztą tu nie o skandal chodzi. To się musi już skończyć wszystko między nami. Kula zaś rewolwerowa to takie efektowne bardzo zakończenie. Nie sądzisz?

Zaśmiała się nerwowo i fałszywie. Lecz potem spoważniała nagle. Jakaś myśl nowa, niezwykła, zaczęła ją rozrzewniać mocno. Opuściła naraz rewolwer nawpół niedbale i mówiła tym swoim miękkim, aksamitnym głosem, pełnym bezmiernej słodyczy i bezgranicznego oddania się:

— Bo ty może przez chwilę przypuściłeś, że, rzuciwszy cię w objęcia śmierci, sama potrafiłabym tu pozostać bez ciebie?... Zaw-

sze mnie nie rozumiałeś i nie potrafiłeś ocenić...

Oczy jej złagodniały i znów patrzyły ku niemu miłośniczo bardzo, choć to napełniało go w tej chwili tylko wstrętem. Nie zrażała się tem...

— Nie sądziż o mnie znów tak krzywdząco!... Ten sam rewolwerek mój ukochany, jeśli ma już stać się zabójcą twoim, nie odmówi i mnie, kochance swej, jednego zimnego pocałunku, jednego rzutu celnego... prosto w moje biedne i tak strasznie skołatane bólem życia serce...

Zaczęła bawić się myślą wspólniej śmierci, jak czemś niezwykle pięknym i ponętym:

— Tak ułożą nas razem obok siebie... na jednym wspólnym katafalku... Twarze będziemy mieli blade i uśmiech słodki, zabłąkany koło ust już na wieczność całą...

Upajała się fantazyą pomysłanego obrazu i pięknnością słów własnych...

— Bo nasza miłość — mówiła z jakimś tęsknem zadumaniem w twarzy — nie umiała, nie potrafiła tu na tej szarej, nudnej, płaskiej ziemi dość spotężnić... Ty może nawet temu nie jesteś winien, że mnie tu nie umiesz po-

kochać tak, jak na to zasługuję. Ale tam w zaświatach — bo chyba wierzysz w życie pozagrobowe jak ja?... — tam mnie poznasz lepiej i ocenisz... Będziesz tam ufnym, silnym, całym mi oddanym... Już mi cię tam żadna nie zabierze... Żadna tam nie sięgnie prócz mnie po twoje takie melancholijne oczy, po te usta świeże, zawsze takie spragnione, po twe uściłki gorące, spalające i spiekotę pożądania sprowadzające...

Miraże tych nowych światów zdawały się ją pociągać nie na żarty dziwną, nieznaną siłą i umacniać w zamiarze wspólnego przetransponowania się w te lepsze zaświaty. Usta jej nieprzytomnie uśmiechały się a ręka, trzymająca mały, lśniący, oprawny w kość słoniową, rewolwerek, jąta zataczać dziwne, coraz to bardziej niebezpieczne kręgi.

Obserwował ją z coraz to większym przerażeniem. Jedyne rzecz najzupełniej banalna swem doraźnym przypomnieniem tegoczesnej rzeczywistości mogła ją oprzytomnić i nadać jej rozkołysanym niezdrowo, fantastycznie myślom bieg zwykłej codzienności.

Nieznacznie przysunął się ku ścianie, w któ-

rej tkwił guziczek dzwonka elektrycznego i w małą chwilę już potem dał się słyszeć zaspany głos wystraszonej kucharki:

— Cóż to pani dzwoni?... Już po dwunastej dawno?... Czego potrzebam?...

Zrozumiała podstęp.

— Nic, nic... Możesz iść spać dalej Kasieńko — to tylko przez pomyłkę dzwoniło. Nie jesteś mi potrzebna...

Mruczenie zaspanej służącej wnet ucichło za drzwiami.

Spojrzała na niego teraz złośliwie, tryumfująco:

— Kaśka już nie przyjdzie nam na ratunek. Ostatnią deskę zbawienia poniosły fale...

I drwiła niemiłosiernie dalej:

— Cóż będzie teraz?... Byłoby dobrze porachować się ze sumieniem i Bogiem... Dalej, dalej na kolana. Zaczynaj godzinki albo lepiej jutrznię. Jak długo potrwa konferencja z Panem Bogiem, kula moja będzie wobec ciebie bezbronna. Cóż chcesz... nawet Hamlet niedołęga nie chciał przesyć szpadą swego stryja łotra, zastawszy go zatopionego na modlitwie.

Zatem?... Cóż ostatecznie poczniemy?...

Przyglądała mu się, chichocąc zgrzytliwie. Zaczęło go już to wszystko denerwować i wyczerpywać aż do nieprzytomności. Ostatkami zamierającego zmysłu krytycznego obserwowała ją już tylko z jakimś zajęciem człowieka, który stoi pod gilotyną, a brzydkie czarownice z motłochu tańczą wokół niego z szalonym chichotem i skowytem śmiertelną sarabandę. Był w tym jej szale jakiś rozpęd rozbieganych koni, które pędzą przed się na oślep, aby roztrzaskać wehikuł o krawędź najbliższego domu.

— Cóż?... Tchórz nas obleciał brzydki?... Twarz ci zbielała jak szynkarski obrus a oczy latają błędnie jak u histeryczki.

Śmiała się znów przeciągle, bardzo rozbawiona tym swoim conceptem.

— Przepyszne... Młodzieniec histeryczny... coś, czego jeszcze nie było...

Opuściła już zupełnie rewolwer ku ziemi, śledząc jednak podejrzliwie każdy ruch jego znikającej postaci.

Jego zaś zmęczonego już tem wszystkim nad wyraz mózgu uczepliła się naraz myśl, której nie szukał, którejby sam nawet wysnuć

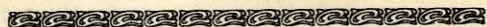
nie umiał, której się jednak uczeplił, jak ślepiec podanego sobie kija. Myśl tę nasunęły mu jej własne słowa, drwiące bezlitośnie a jednak niosące w swej treści bezwiednie dlań zbawienie. W oczach jego, w których latały już od szalonego najpewniej wyczerpania fioletowe kręgi, otworzył się naraz jakby szeroki, jasny horyzont.

Histeryk — powiedziała... A gdyby!... Dlaczego nie miałyby być histerykiem? W tych warunkach czy byłoby to nieprawdopodobnem?... Tyle razy patrzył na jej ataki spazmatyczne nerwów, wobec których był zawsze bezsilnym. Czemu nie miałyby raz wobec niej użyć tej samej broni?...

Jakby pod wpływem tej myśli, znużony i śmiertelnie wyczerpany, wsparł głowę na rękę i wybuchnął długim, nerwowym śmiechem, który za chwilę przeszedł w chichot suchy, bezdźwięczny, przerywany...

Zaskoczona tem, w pierwszej chwili oniemiała, lecz wnet odzyskała zwykłą swą rezolucję i kpiła jeszcze bezlitośniej:

— Nędzny komedyant... arlekin podły, aktor... Nie sil się na próżno... Marny kabo-



tynie, to na nic... Radzę odzyskać przytomność i zacząć być seryo, bo już nam niewiele chwil pozostaje. Czy słyszysz?... Jeszcze jedno twe komedyanckie chlipnięcie a strzelę bez miłosierdzia w samą skroń, żebyś nie potrzebował się męczyć...

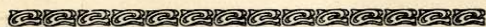
Ani jednym drgnięciem nie dał poznać, iż zdawał sobie sprawę z groźby rzuconej, tylko przeszedł powoli w stan rozpaczego chlipania, przeplatane go śmiechem bezdźwięcznym, westchnieniami i wyrazami, dobywającymi się z jego gardła bez związku, urywanie, niepokojąco...

Podeszła ku niemu z niedowierzaniem i spróbowała mu podnieść głowę.

Wyraz oczu dziki i obłądny, które na nią spojrzały zresztą nieprzytomnie, musiały ją jednak zastanowić poważnie, bo usłyszał jej pojednawcze:

— Stasiu!... Uspokójże się raz i pogadajmy zupełnie rozsądnie. Przecie inaczej nie będzie można skończyć...

Ale on bynajmniej nie myślał skończyć. Miał za to w tej chwili uczucie człowieka, który, ratując się z trzęsawiska, nareszcie sta-



pił na pewny, twardy grunt i zbiera siły, by się puścić teraz przed siebie całym pędem. Więc też ratunkową improwizację nerwowych drzeń, wykrzykników i spazmów kontynuował z taką prawdą i rozpaczą, że... dostał najprawdziwszego w świecie ataku histerycznego i stracił najzupełniej przytomność...

Gdy ją odzyskał, pierwsze wrażenie, jakie odczuł, był chłód umaczonej chustki, którą mu nacierano skronie.

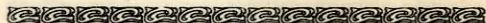
Leżał na otomanie, kołnierzyk miał odpięty, koszulę na piersi rozchyłoną a wokoło niego krzątała się ona, jego prześladowczyni. Od czasu do czasu nakrywała mu oczy pocałunkami i szeptała tkliwie, jak tylko rozkochana na śmierć i życie kobieta szeptać umie.

— Stachu mój!... Tylko nie patrzeć już tak na mnie źle!... Nie chciałam dokuczyć znów tak bardzo...

Usprawiedliwiała mu się z taką pokorą:

— Sam bo mnie rozwścieklisz, rozżościsz, doprowadzisz do bezpamięci, a potem masz żal do mnie, oto... No, powiedz już co dobrego swej Mewie...

Cóż dobrego miał jej powiedzieć w chwili,



w której z największą rozkoszą byłby ją udu-
sił, to swoje przekleństwo, tę swoją zmorę...

A ta zmora nachylała się oto nad nim,
pożerała go znów rozkochanemi oczyma, tu-
liła jego głowę do swych piersi i ogrzewała
mu chłodne skronie tchnieniem swego palą-
cego oddechu...

Dusił go ten oddech w owej chwili i dła-
wił, jak dym gryzący, który wiatr zanosí od
płonącego domostwa. Z jakąż nieskrywaną
nienawiścią odpychał ją wtedy.

Nie zważała na to. Odrażona chwiała się,
jak trawa morska za podmuchem wichury,
i powracała cierpliwa, poddana i taka słodka...

Z pod nawpół podniesionej powieki rzucił
okiem na obok stojący stolik. Tam na nim
lśnił się białą kościaną oprawą swej rękojeści
mały rewolwerek... Patrzył nań z nienawiścią,
jako na sprawcę dopieroco przeżytej sceny,
nie strasznej ostatecznie, jak się okazało, ale
wyczerpującej śmiertelnie...

Bohaterka tej przykrej nad wyraz tragi-
farsy, przetransponowana już nie do poznania
w cichego anioła — pocieszyciela, krzątała
się koło niego bez przerwy, zmieniając mu

okłady na czoło i wlewając gwałtem w usta,
grzane nad płomieniem lampy, czerwone wino.

Odpychał szorstko jej rękę, zaciskał zęby,
gdy doń zbliżała się z winem, i nie wymówił
od czasu odzyskania przytomności ani jed-
nego słowa...

Tykający poważnie i miarowo na przeciw-
ległej ścianie, zegar wskazywał godzinę trze-
cią z rana...

Za oknem już szarzało...

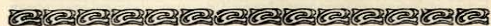
Był owładnięty całą jedną, jedyną myślą:
uciec stąd, uciec jaknajdalej od niej, daleko
w świat za oczy, nigdy już nie wrócić tu,
nigdy już nie widzieć tej strasznej, zdolnej
do najszańszego czynu, kobiety, nie dotknąć
jej pachnącego, a tak teraz dlań odrażającego
ciała, nie słyszeć szelestu jej sukni...

Nigdy, nigdy...

Myśl ta powracała uparcie raz po raz,
snuła mu się po włóknach wszystkich mięśni,
buntując je do czynu, zdecydowanego, natych-
miastowego...

— Uciec stąd, uciec, zaraz, natychmiast...
nie czekając dalej ani chwili...

Drzwi, już otwarte i nawpółuchylone do



przedpokoju, tak kusiły... Tam w przedpokoju wisi jego palto wiosenne, kapelusz... nic nie stoi już na przeszkodzie... uciec... uciec...

Grzała właśnie wino nad lampą. Jednym susem porwał się z otomany, przebiegł koło niej i, zanim się opatrzyła, już narzucał na siebie palto i chwycił za kapelusz.

Dopędziła go aż przy dzwonku, budzącym stróża...

Uwiesiła mu się na szyi, rąk się czepiała, nóg, łkała jak zbrodniarz, który się żegna, zanim go na szafot poprowadzą.

Nie słyszał wcale jej słów błagających o pozostanie, w uszach huczało mu jak w młynie, monotonnie...

— Uciec stąd, uciec, zaraz... natychmiast!

A ona błagała:

— Wróć, Stasiu, życie moje, ty zacięty okrutniku, ty niedobry chłopcze... Ty nawet nie wiesz, jak ja cię przebłagam... Jaką chcesz i na co chcesz przysięgę ci złożyć... że już nigdy... wiesz...

Dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi, otwierających się drzwi stróża i w tej chwili mignęło światelko jego latarki.

Cofnęła się z cichym jękiem, nie dokończywszy zdania, i znikła jak cień ducha, spłoszonego promieniami wschodzącej jutrzenki.

W południe tego samego dnia zbudził go postaniec z listem od niej.

.....
To ten list właśnie... Taką mgławicą wspomnień odeń wionęło...

Przetarł ręką czoło i oprzytomniał. Świeca dopalała się w lichtarzu.

Stanęła mu znów przed oczyma cała niewesoła rzeczywistość chwili. Ta jego zmora czyhała tam na niego na ulicy...

Słaby jakiś błysk nadziei pocieszał go:

— A może już sobie poszła...

Wrócił do okna frontowego i wyjrzał. Czy to podobne?... A jednak nie — nie mylił się. Tam po drugiej stronie ulicy sylwetka jej postaci w kręgu latarni słaniała się jeszcze do tej chwili...

Która to godzina być może?... Najpewniej po dziesiątej, bo bramy domów już pozamykane. Spojrzał na zegarek, przytknąwszy go uważnie do samych oczu. Było w pół do jedenastej...

Więc czemu jeszcze nie poszła sobie?...
Może zamierza blokować jego dom tak przez
noc całą?!...

Byłoby to conajmniej szalone z jej strony.

Przez okno mżyły najwidoczniej krople
jesiennego deszczu, który zatapiał ulicę w nie-
uchronnej wilgoci. Ta uparta kobieta chce
chyba nabawić się śmiertelnej choroby, stojąc
godzinami na takim dżdżu.

Musi ją jednak niewypowiedzianie niena-
widzieć, kiedy prawdopodobieństwo to raczej
go gniewa, niż martwi lub niepokoi...

Nawet bardzo go gniewa. Bo jeżeli na-
prawdę postanowiła wyczekiwać nań tam przed
bramą choćby do rana?...

Fatalny samotrzask...

O szóstej najpóźniej powinienby już jechać
na dworzec. Jeśli ta szalona zamierza wytrwać
tam na swoim posterunku aż do tej pory, mowy
niema o jutrzejszym wyjeździe...

Co wtedy zrobi?...

Ale to niepodobna, by zaciętość jej i roz-
pacz utrzymały ją tam na tem dżdżystem sta-
nowisku aż do tej pory... Ta myśl znacznie
go uspokoiła. Zbroił się w cierpliwość.

Powrócił na dawne stanowisko w drugim
pokoju, usiadł ponownie przed biurkiem i po-
czął w dalszym ciągu porządkować listy dla
ułożenia ich w pakiet. Natrętne jak uprzy-
krzone moskity — myśli o niej czepiały mu
się nieprzerwanie mózgu, tnąc go nielitości-
wie i niecierpliwąc aż do wściekłości...

— Dobrze mi tak — myślał — jak można
było jeszcze wrócić do niej po owej scenie
z rewolwerem, jak można było?!...

A jednak wrócił...

Analizował z całą uwagą ówczesną sytua-
cję. Był jeszcze wtedy pod szatańskim, nie-
odpartym urokiem jej pieśczoć, czaru jej
subtelnej kobiecości, odurzającej go jak zapach
kwietnego sadu, był pod urokiem jej każącej
się podziwiać inteligencji, z jaką przykuwała
go do siebie na długie godziny bajecznymi
rozmowy o swej sztuce, o olbrzymich pomy-
ślach plastycznych, które palą się w jej sercu
i mózgu...

Ujarzmiła go tem wszystkim i jak nie-
wolnika prowadziła u swego rydwanu sza-
leństw i katuszy.

Bezpośrednią jednak i ostatnią przyczyną,

która go jej powróciła, był ten właśnie list, który bezwiednie wyszukał z całej sterty innych mu podobnych. Jakże był z niego dumnym jeszcze tak niedawno temu, ileżto razy go już odczytywał, ileż razy wtopiał się myślą w jego poszczególne ustępy, które mu imponowały szaleństwem rozumowania, poddania się bezbrzeżnego i niewysłowionej tęsknoty.

Ponieważ po pierwszym liście nie wrócił i nie dał nawet znaku życia o sobie, napisała mu ten drugi właśnie, ten taki rozetkany cały, taki rozpaczliwy...

Nie mógł się powstrzymać, aby nie odczytać go i teraz, po raz setny już może. Czytając, chciał jakby skontrolować się, czy te ustępy, pisane ogniem nieugaszonym i łzami, które dotąd zazwyczaj przejmowały go tak szalenie, nie spełzną teraz na ponurem tle przeżywanej sytuacji... Bądź co bądź sytuacja była oryginalna. Autorka tego listu, w imię upartego szaleństwa moknąca tam na deszczu, aby go dopaść wracającego do domu, i on tu, bezpieczny bezwzględnie przed jej rozpaczliwą pogonią, wygodnie wsunąwszy się w fotel,

wyziębły i wystygły dla tego wampira blado — wczytuje się w te jego nieodparte westchnienia, tak już przyblakłe...

Jak zaś wyraziście, krzycząco szkarłatnie brzmiały wówczas...

— Bo ty mnie musisz najpewniej nienawidzieć szalenie, Stachu — pisała — i gardzić mną okropnie za wszystko, co się stało. Ale nie więcej chyba jak ja sama sobą. Ty jesteś bowiem najlepszym z ludzi, jakim mnie los mógł obdarzyć, ja zaś najgorszą z kobiet, jakie spotkać mogłeś na drodze swego życia...«

Jakże szalone wrażenie sprawił na nim wówczas ten ustęp, jakie piorunujące. Dziś odczytywał go z uśmiechem szczerzego politowania nad swą ówczesną naiwnością, z pewnym nawet zniecierpliwieniem...

Równie mało go wzruszał dalszy ciąg listu...

— »Lecz cóż na to poradzę biedna, że ja, która cię pioletem karmię i życie twe w mgły smutku zasnuwam, równocześnie kocham cię tak szalenie i życia swego bez ciebie wprost już zrozumieć nie umiem...

Bo cóż ja pocznę bez twego serca, bez

twego kochania, bez tych twoich spojrzeń, które patrzą na mnie o zmroku dnia, o pierwszym brzasku poranka i w południe skwarne, gdy z sił opadła, półomdlała wyczekują twego powrotu. Ty pewnie sądzisz, o nieopatrzny chłopcze, że mógłbyś żyć bezemnie. Nawet przysiądz mógłbyś na to w tej chwili...

Ale to złudzenie...

Czy wierzysz, że dusze nasze, wiecznie stęsknione za sobą i ku sobie, krążyły na wiele setek lat przed wcieleniem się w powłoki ziemskie gdzieś tam w bezmiarach kosmicznych, aż tu, zetknąwszy się z sobą, od razu przyłgnęły do siebie i pokochały się tak szalenie i mocno, jak nikt nigdy przedtem nie kochał, nie kocha i kochać nie może, nie będzie...

Stachu mój, demonie ty mój najmilejszy!... Ty przecie też odczuwać musisz ogrom i to dostojęństwo miłości naszej...

Tylko ty równocześnie myślisz zaraz o przekleństwie cierpień i męczarni jej towarzyszących. I ja je odczuwam, cierpię i boleję nad niemi...

Lecz Stachu mój!... To nie ja ani ty je-

steśmy temu winni. Winne jest życie bezdusne, szorstkie, wrogie nam...

Ono to wplata nas w to koło cierpień bezmiernych i ciągłych. Nie opierać nam się nawet temu, ani z tem walczyć...

Nie tu w okowach tego wrogiego nam życia przyszłość naszej świetlanej i cudnej mimo wszystko miłości. Ale dopiero tam... tam w zaświatach, gdzie znów się razem spotkamy i połączymy na zawsze po tym czyścisku doczesnym i po tej strasznej Gehennie...

Nie marszcz tam Stachu swych ukochanych brwi i nie odrzucaj niecierpliwie mego listu. Straszna mam słusność w tem, co ci piszę. I nie posądzaj mnie, że właśnie po tem, co tej przeklętej nocy pomiędzy nami zaszło, piszę o tej konieczności. Jestem jeszcze bardzo daleko od chwili zaproponowania ci wspólnego dla tej cudnej idei samobójstwa, choć przyznam ci się, że mnie ta myśl wciąż tak pociąga szalenie...

Ale ty tak cenisz życie, tak je kochasz. I po twojemu słusznie. Ty taki młody, taki pełen życia, tak przez to życie bogato obdarowany i tak przez nie psuty. Ono to uśmie-

chnęło się do ciebie przez usta tej pięknej strojnisi, o którą byłam tak zaciekle zazdrośna. Lecz już nie w tej chwili. Jestem pewna, że nic mi cię już nie jest w stanie zabrać...

I ty to zrozumiesz z czasem, gdy mnie jeszcze lepiej poznasz, ocenisz, gdy spojrzysz w zawrotną głębię naszego kochania. Więc kochaj życie!... Tyś taki szalenie zdrów, taki samsonowo mocny!... Jakże ci szalenie zazdroścę tego twojego zdrowia, twej, coś z gaju szumiącego mającej, młodości.

Nigdy mi tego odczuć nie dałeś, żem o całych lat siedem starsza od ciebie. Lecz ja to sama odczuwam wciąż tak doskonale. A jednak dumną jestem, że moje wysubtelnione tak ogromnie doświadczenie życia (tego mnie ono nigdy nie szczędziło...) i twoja słodka, często chłopięca wprost i anielska naiwność wierzeń i wzlotów, tworzyły zawsze wymarzoną całość. To właśnie jedna z największych rękami trwałości naszego orlego uczucia i szczęścia nieprzebranego, jakiego nam ono nie skąpi...

Przerwał czytanie i śmiał się długo, cicho i gorzko... Uczucie i szczęście nieprzebrane! Lecz gdzie i w czym?... Czy w tej seryi

wieczorów, wypełnionych co prawda po ich poznaniu się najwyszukańszemi rozkoszami, jakich dotąd nawet nie znał z imienia... Odczuwał po nich tylko niesmak najwyższy, czczość jałową i nudę ckliwą jak po przepiciu się podrabianem winem na pierwszym komersie burszowskim. Bo chyba nie była szczęściem owa wieczna rozterka, która oplotła ich oboje jakby tysiąciami mackami przezroczyściego polipa, nie dającego się ująć materyalnie a przecież przyprawiającego o szaleństwo nieokreślonymi męczarniami, jakie zadawał...

I w tych warunkach ona zaklinała go do czerpania dalej z tego potoku rozkoszy, pełnego gadów przeróżnych i padalców jadowitych. Wzdrygnął się, jak ktoś, komu zaproponowanoby przejażdżkę wkoło Capri we wnętrzu beczki, wyłożonej gwoździami...

Pewnie i teraz, gdyby się z nią zetknął tam na tej dżdżystej ulicy, przypadłaby doń wyczerpana, wtuliła się jak chory powój do młodego dębu i szeptałaby mu do uszu chorem i zmęczonym głosem tak znane mu już zaklęcia i skargi...

Po to tylko wyczekuje tam nań wśród dżdży-

stej ulicy, smagana deszczem jesiennym, i marzy z uporem zhistryzowanego uczucia, pełnego przeciwieństw i potworności najdotkliwszych...

Za żadną cenę... Jeśli nie odeszła jeszcze, tem gorzej dla niej... Niechże stoi tam, przy-murowana do bruku szaleństwem nieopatrzości, niech stoi pod pręgierzem spojrzeń przechodniów, niech ją obryzgują dorożki, niech wypatruje zaczerwienione oczy, wlepione w ciemną toń okna. Chcącemu nie dzieje się krzywda...

Aż się zadziwił sam nad zaciekłością egoizmu swego. Ilością jednak przejść i ich dotkliwością czuł się najzupełniej rozgrzeszonym. Mógł najzupełniej obojętnie oddać się oto dalszej analizie odczytywanego w tak niezwykle oryginalnych warunkach listu.

— »Ale nie sądz ani na chwilę, Stachu mój — pisała dalej więcej już równym i śmiałym w rozmachu charakterem — że byłabym zdolną pozbawić cię tego życia wbrew twej woli. Jeśli już będzie trzeba, odejdę sama, cicha i zrezygnowana.

Ale jeszcze nie teraz — nie teraz, Stachu...

Pozwól, niech jeszcze teraz nie odchodzę od ciebie w te inne zaświaty... Jaby tam tak szalenie tęskniła za tobą. Bo choć uciec chcesz od mojej miłości, nie złorzeczę ci, tylko usiadłszy przed twoją fotografią, tą samą, którą mi ofiarowałeś w zamszowych ramkach, modłę się oto do ciebie, byś mi wrócił siebie, a z sobą moje zdrowie, szczęście, uśmiech do życia, swobodę myśli i pracy...

Od chwili, gdy mnie odbiegłeś, uleciał odemnie sen, równowaga nerwów, niczego przełknąć nie mogę a moje postaci ukochane z gliny, które z takim zapałem rozpocęłam, próżno tam tęsknią za mną w pracowni, bo do nich wrócić nie mam ani siły ani ochoty.

Jeśli to dłużej potrwa, umrę!...

Czy ty to rozumiesz, niedobry, okrutny chłopcze!...

Zresztą, choć wrócisz, a wrócić musisz choćby przez litość, by mnie nie zabijać, — to i tak już bardzo niedługo będę zasnuwać duszną mgłą — jasną smugę twojego życia — — —

Wróc więc, Stachu, wróc światy moje, zbawienie moje, moje wszystko tu i tam za grobem...

Stałeś się moją chorobą i mojem życiem. Tak mi już jesteś potrzebny do życia, jak powietrze, jak woda, jak światło dnia białego.

Dostaję wprost szału, gdy rozłączona z tobą...

Czy to jest moja wina, że cię tak pokochałam, że cię kochać muszę, że cię nie kochać, że cię zapomnieć już nie mogę, nie mogę...

Więc życie ty moje całe i śmierci ty moja wymodlona... Zapomnij, że ci bluźniła, że ci wyrzec śmiała, że cię nienawidzę. Ty sam czujesz, jakim to potwornym kłamstwem było w ustach moich. To były tylko bezdźwięczne słowa, które gorączka zdenerwowania wyrzuciła mimo mej woli na spieczone od bólu usta moje...

Więc nie wierz temu, gdy ci złorzeczę... Raczej nachyl ucho ku mojemu biednemu sercu, gdy już umierać będę, a przekonasz się, że w ostatnim swem tchnieniu wyszepce imię twoje«...

Tu też kilka bezbarwnymi i bezkształtnymi plamami kończyło list jakby niedośpiewanym akordem...

Tak szalenie był dumny kiedyś z tego listu. Czy kiedy marzył, by być bohaterem takiego uczucia...

Dopiero dziś... dopiero w tej chwili poznał, że serce kobiety, przesubtelizowanej i trawionej wiecznym niepokojem nerwów, jest jak owo płytkie dno skalistego morza. Najmniejszy podmuch wichury wywołuje wśród takiej mielizny cały huragan spienionych, złośliwych fal. Zatopieniem one nie grożą. Lecz kto się raz dostanie w ich krąg zawrotny, poranią go umęczonego śmiertelnie o ostre wyniosłości dna, aż padnie i skona na mieliźnie, marząc jakby na ostatnią pociechę, że bezdenna toń porwała go w swój bezmiar bezkresny...

A tak przecie łagodnie po mozartowsku brzmiały pierwsze akordy tej całej symfonii, zanim się nie przemieniła w całe piekło zgrzytliwych dźwięków, zdolnych przyprawić o utratę zmysłów. Cóżbo to była za przesłodka kobieta z niej wówczas zaraz po poznaniu, jaka anielska, łagodna, wyrozumiała....

Ten cudny pierwszy miesiąc romansu jakby nie do nich należał...

Poznali się z sobą na wielkim reunienie

w zdrojowisku leczniczem, gdzie przybył dla należnego mu wypoczynku po wyczerpującej pracy doktorskiej, która miała być jednym ze szczeblów, prowadzących do katedry uniwersyteckiej. Przybył tam z wyraźnym zamiarem rzucenia się w wir zabaw, zapomnienia, użycia...

Na wstępie samym zetknął się z nią. Pociągnęła go odrazu ku sobie demoniczną swych czarnych, niezdrowo jarzących się oczu. Utkwiła je w nim z całą otwartością kobiety, nie umiejącej sobie zadawać przymusu, gdy chodzi o okazanie odczuwanego podziwu i zachwyty, wyrażającego wszystko...

Ani się opatrzył, młody i niedoświadczony, kiedy już należał do niej niepodzielnie. Jakże wyraziście i z jakim nieopisanym wdziękiem wyróżniła go w lot z całego roju wielbicieli, natrętnie ją otaczających. Pochlebiało mu to nad wyraz.

W dni cztery po poznaniu — pamięta to tak dokładnie — otrzymał nad wieczorem jej kapryśny bilecik, a na nim słowa:

— »Swego władcę już i niewolnika zapra-

sza dziś do siebie, na cudny wieczór róż — królowa i niewolnica...

Gdy wszedł do jej buduaru, przemienionego przez nią samą z banalnego pokoju hotelowego w miękkie i rozkoszne pięścidełko, pełne przeróżnych drobiazgów, ekraników, poduszek, poduszeczek, fotografii, kwiatów, podeszła ku niemu z twarzą, zrumienioną radością, z wilgotnymi oczyma, pełnymi uległej radości.

Bez jednego słowa wzięła jego rękę, podniosła i położyła sobie na chłodnym czole. Potem, ułożywszy swą głowę na jego piersi, przytuliła się doń z takim bezmiernym oddaniem się, szczęśliwa ogromnie i upojona...

W tej ręce właśnie, którą mu położyła sobie na czoło, trzymał pęk fiołków przyniesionych. Rozluźniła się nić, która je wiązała, i te fiołki rozsypały się naraz po jej twarzy, całując w przelocie musnięciem jej oczy, nosek prześliczny, wążkie nieco ale subtelnie bardzo narysowane usta.

Była mu taka wdzięczna za ten hołd kwiecisty, bezwiednie wyrażony, i tuliła się doń coraz to silniej, ufniej, namiętniej...

Gdy usiedli na miękkiej i obrzuconej kapryśnie poduszczkami puchowemi otomanie, patrzyła mu wciąż bez przerwy w oczy z tym samym wyrazem rozkochania i zachwytu, który mu tak niezmiernie imponował i ujarzmiął...

Aż wreszcie sama przerwała to milczenie półszepcetem kapryśnym zepsutej hołdami królowej:

— No... mówić teraz... dużo... o mnie... o sobie... o nas... tak szczerze, dużo, po prostu...

Więc mówił tak długo, szczerze i po prostu, głosem przyciszonym, melodyjnym, jakby zaśłuchanym w swoje własne brzmienie. Mówił o wszystkim, czem było serce jego przepętnione, zanim ją poznał.

Potrzeba mu było tak strasznie, ogromnie, takiej kobiety, jak ona. Właśnie jak ona... Jest jego wymarzonym typem. Dotąd naprawdę nie kochał jeszcze żadnej kobiety. Nawet nie zdawał sobie z tego dokładnie sprawy, nie rozumiał wcale, co kochać znaczy. Zrozumiał to dopiero teraz, poznawszy ją...

Tak strasznie jest dumnym, że chce być jego, jego marzeniem i rozkoszą całą, jego

natchnieniem życia, Beatryczą tego, co stworzyć dla ludzi zamierza... Chce olśnić świat cały, a ona będzie tem słońcem, z którego czerpać będzie żar i światło. Z prac jej, które oglądał na wystawie, wyczytał i poznał jej przesubtelną, taką cudną duszę...

Słuchała go z jakimś nieokreślonym zmrużeniem oczu, skrywanych długimi, czarnymi rzęsami, ściskając mu rękę nerwowo, namiętnie...

Więc wierzy w to mocno, iżby potrafiła być jego natchnieniem?... Więc ufa w jej odczucie piękna, w jej bałwochwalstwo pogańskie dla sztuki?...

Ależ tak... tak!... Jej rzeźby, przed którymi wystawał całemi godzinami, są tak głęboko uduchowione. Krytyka je ceniła, ale on je ukochał. Zwłaszcza tę postać kobiecą, o skończenie pięknych liniach, nazwaną »Porankiem«. Wyciąga ręce przed siebie, pełna jakiegoś radosnego wyczekiwania szczęścia, jakby do jakichś jasnych, rozświetlonych przestworzy.

— To była moja tęsknota za tobą... drogi, kochany, taki szalenie pożądany...

Utonął głową w fałdach jej miękko drapu-

jącej się sukni, otulających jej pełne, krągłe kolana. Przesuwała mu rękę wzdłuż włosów, drażniąc go nieuchwytną pieśczołą, która przepływała mu słodką falą wzdłuż całego ciała...

Naraz spytała, jakby załęczniona czemś, jakby coś nagle sobie przypominając:

— Czy nie boisz się mnie choć trochę?... Ludzie tak się nad moją sławą znęcają, tak szarpia mnie bezlitośnie, niezastuzenie... Czy gotów jesteś mi zaufać bezwzględnie, żem dobra, czystych zawsze myśli, że podłość i brudy życia są zawsze zdala odemnie?... Tylko oni tacy źli, nieubłagani... ci niedo-brzy ludzie...

Wyprężył ramiona mężnie, jakby gotów do walki z całym światem o jej cześć, i potrząsał walecznie swą płową czupryną włosów...

Właśnie pragnął takiej kobiety, nie banalnej, nie pierwszej z brzegu, nie narzucającej mu się, ani nie narzucanej konwenansami kodeksu światowego, ale zjawiającej się przed nim, jak wymodlone długą tęsknotą u przestodkiego Przeznaczenia bóstwo, zjawiającej

się, jak sen o pięknych i przepojonych porządkiem kształtach...

Przygarniała go ku sobie coraz mocniej, namiętniej, szépcąc jakby bezwiednie:

— Chcesz?... Pragniesz być moim?... Zupełnie, bezwzględnie już moim?...

Któżby nie pragnął w takich razach być nim?...

Tak zaczęły dla nich płynąć dni szczęścia i płynęły tak długo, póki na horyzoncie nie pojawiły się chmury. Zły jakiś duch chodził wciąż za nimi, ambrozyę boskich uniesień przesypywał popiołem i mieszał uparcie zarazę do wina. Czyżby tak szybko zetliło się wielkie, olśniewające słońce ich szczęścia, które obiecywało świecić im bez końca?...

W pomroku coraz to częściej powracającego zwątpienia ciskali na się najprzykrzejsze zarzuty, aby na drugi dzień znów tonąc sobie w objęciach, przebaczać i przy najbliższej i najbliższej sposobności znów zakrwawiać sobie serca aż do śmiertelnego zmęczenia...

W tych warunkach przeżył z sobą rok cały

stało się dla niego jedną wielką, niewypowiedzianą męką. Na kartkach tych listów była ona wypisana cała. Jeszcze miesiąc choćby takiego kochania, a samby sobie kulą skroń przewiercił, jak to uczynił jeden z jego szczęśliwych poprzedników z nadmiaru wrażeń, jakich mu nie skąpiła...

Na szczęście wszystko skończone... Nieodwołalnie. Powiązał szybko listy w jeden pakiet i odłożył na bok. Potem otworzył szafę i począł z niej dobywać ubrania, które zamierzał zabrać z sobą w podróż.

Zastukano silnie do drzwi. Potem ktoś głośno zagadał. Poznał ochrypły głos zaufanego stróża Jana.

— Czego tam?... Przecie niema mnie w domu, Jan wie o tem...

— A wiem i mówiłem to już z dziesięć razy tej pani, co tam czeka na ulicy, ale nie chce wierzyć i ustąpić się...

— Po co Jan wogóle wdaje się z nią w gawędy?...

— Bo mi dzwoni co jakiś kwadrans do bramy i muszę otwierać...

— Jeszcze nie poszła?...

— A nie... Dzwoniła znów tylko co i tak mnie prosiła, żebym jej pozwolił bodaj na schodach czekać... To uparta, że no...

— Ale Jan nie pozwolił?...

— Gdzieżby zaś... Coby inne lokatory powiedzieli na to...

Otworzył ostrożnie drzwi, upewniwszy się wprzód, że jej istotnie niema na schodach.

Trzeba było koniecznie coś uradzić w tej niezwykłej sytuacji wspólnie. Jan wszedł, rozglądając się swoim zwyczajem uważnie dookoła. Wreszcie zagaił chytrze:

— Dała mi dwie korony, żebym tylko przypilnował, aby się z panem mogła jeszcze dzisiaj zobaczyć...

— Ja Janowi dam dziesięć, niech tylko Jan tak zrobi, żeby sobie poszła a ja żebym mógł dokończyć pakowania i pojechać bez przeszkody za trzy godziny na kolej...

Jan się uśmiechnął pożądliwie. Wszystkie napiwki przyrzeczone dochodziły go od tego lokatora skrupulatnie.

— I to jakoś dałoby się zrobić...

— Jak, jak?...

— Niech pan tylko zaraz siada i napisze

niby przezemnie do gospodarza list, że pan już wczoraj wyjechał sobie precz za granicę, że już pan do nas nie wróci i że mieszkanie można komu innemu wynająć...

— I co Jan z tem zrobi?...

— Nic, tylko pokażę tej pani niby pod sekretem, że pan tę kartkę zostawił u mojej żony, jak mnie nie było, że baba przegapiła i teraz mnie dopiero pokazała... już ja umiem gadać, jak trzeba...

— Dobrze, piszę...

W chwili potem stał znów na swem stanowisku u okna i obserwował. Jan wyszedł na ulicę i między nim a ciemną, tak dobrze mu znaną postacią zawiązała się w świetle latarni żywa wymiana słów...

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Turkot dorożki, jaki się niedługo rozległ, świadczył, że odjechała. Z Maryackiej wydzwoniła druga po północy...

Nareszcie, nareszcie...

W trzy godziny później mknął już całą siłą pary w stronę Monachium...

.....
Czego tam nie przeszedł przez pierwsze

dni pobytu. Każde pismo z kraju, które brał do ręki, przejmowało go nieznaną trwogą. Bał się wyczytać w niem wiadomość o katastrofie, dotyczącej jej osoby...

Ale nigdzie nie znalazł śladu wiadomości podobnej... To go zwolna uspokajało. Widocznie ani nie utonęła w nurtach Wisły, ani się otruła, ani też nie użyła rewolweru, by przeciąć pasmo życia, które zresztą, jak go zapewniała tyle razy, traciło wartość, gdy nie mogli należeć do siebie...

A więc znalazła tyle sił, aby przenieść na sobie straszny cios rozstania... Wszystkie jej zatem groźby i przysięgi, mówiące co innego i co innego przepowiadające, były podyktowane tylko gorączką nerwów rozszalałych...

To go uspokoiło wkońcu w zupełności.

W początkach trzeciego miesiąca swego dobrowolnego wygnania osądził, że mógł już najzupełniej bezpiecznie wrócić do kraju i, wyperswadowawszy sobie piękne dni w Aranjuez, wziąć się z powrotem do swych prac naukowych.

W pierwszej gazecie, którą kupił na dworcu krakowskim wysiadając, wyczytał wiadomość,

która go upewniła do reszty, że nie ma na sumieniu żadnej winy, któraby kosztowała życie kobiece. W notatkach artystycznych pismo to donosiło, iż w salonie sztuki wystawiono między innymi »Truciciela«, dłuta znanej artystki, której talent i t. d...

Odetchnął raz jeszcze jak po przykrym śnie i, kazawszy swoje rzeczy odstawić tymczasowo do hotelu, szedł powoli i z lubością przywitać się z miastem...

Ani się opatrzył, jak znalazł się przed gmachem sztuki na placu Szczepańskim. Nie namyślając się, kupił bilet i wszedł do wnętrza. Ani mu przez myśl nie przeszło, by widok jej pracy mógł mu odebrać choć trochę spokój, tak drogo okupiony...

Wewnątrz było prawie pusto.

Minął środkową salę, wypełnioną w zupełności obrazami, i już miał wejść do salki bocznej na lewo, skąd widniały rzeźby, gdy naraz zadrżał i cofnął się odruchowo. Przed wielką grupą, mającą wyobrażać »Fatuma«, stała... ona!...

Ale nie sama...

Stała oparta o ramię wysokiego, kształtnego

blondyna, z bródką starannie przystrzyżoną w łopatkę. Blondyn patrzył na nią z nadzwyczajnym oddaniem się, hypnotyzowany spojrzeciami jej demonicznych oczu, pełzających równocześnie ku niemu z równym i podzielanym zachwytem...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, przybyły przekroczył próg salki i, kołując nieznacznie, podszedł ku nim tak blisko, że mógł usłyszeć prawie każde słowo ich rozmowy...

Fala gorących wspomnień oblała go znów całego. Wchłaniał zapach jej ciała, tak szalenie mu znany i pomieszany z ostrym zapachem perfum, których stale używała. Łowił uszyna szelest jej sukni, obejmujących to przepyszne ciało, które tyle razy pieścił...

Nieopisana zazdrość zaczęła milczkiem kąsać mu serce...

Usunął się na stojącą opodal ławkę, aby nie upaść ze wzruszenia, jakie nagłym rzutem osłabiło siłę jego nóg i ugięło mu je w kolanach...

Ona tymczasem, opierając się coraz to bardziej o ramię blondyna i spoglądając mu

w oczy z czarującą uległością sułtańskiej hurysy, mówiła doń swym pieśczoneym, kapryśnym głosem:

— Czy wierzysz, drogi ty mój, że dusze nasze, wiecznie stęsknione za sobą i do siebie, bo sobie przeznaczone, krążyły ze sobą razem już na wiele setek lat przed wcieleniem się w powłoki ziemskie gdzieś tam w bezmiarach kosmicznych... Czy więc jest dziwnem, gdy tu na ziemi zetknąwszy się z sobą, przylgnęły od razu do siebie i pokochały się tak szalenie i mocno, jak nigdy nikt jeszcze nie kochał, nie kocha i kochać nie będzie... Czy wierzysz?...

Młody, kształtny blondyn, z bródką starannie wystrzyżoną w łopatkę, pożerał ją oczyma i odpowiadał z głębokim przejęciem się:

— Wszystko, co mówisz, jest dla mnie świętem, o ukochana moja...

Ona zaś, jakby w przystępie ekstazy, tuliła się do niego coraz silniej:

— Czem ty mnie tak przykułeś od razu do siebie, niedobry?... Stałeś się już moją chorobą i mojem życiem... I tak mi już jesteś potrzebnym do życia, jak powietrze, jak woda

jak światło dnia białego. I czy to jest moja wina, powiedz, że cię tak pokochałam, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochałam przedtem i jakbym już nigdy nikogo pokochać już nie była w stanie...

A on, podnosząc jej ręce z czcią i bezmiernym oddaniem się do ust, rzekł:

— Moje ty wszystko!...

Przytuleni do siebie, odwrócili się wreszcie i skierowali się ku wyjściu. Przechodzili tak blisko koło siedzącego, że prawie suknią otarła się o jego wysunięte kolana. Starął się uchwyścić bodaj jedno spojrzenie tych czarnych, niezdrowym ogniem wiecznie jarzących się oczu, okolonych cudnie narysowanymi brwiami.

Jakoż istotnie jedno takie dostało mu się na krótką chwilę.

Spojrzenie to, przelotne lecz ostre i uważne, bezbrzeżnie przytem zimne i obojętne, mówiło mu, że... go ta kobieta wogóle po raz pierwszy widzi w swoim życiu...

Wcale go nawet nigdy nie znała...

98531

~~92180~~

SPIS RZECZY.

KAPRYS KSIĘŻNEJ	5
GDY SIĘ KOCHA	47
JELENIE	77
KARA BOŻA	137
AMOR HISTERICUS	169